



aby chcieli
chcieć 3



coś za coś 5



nie tylko dla
bogactw 6



anomalie 14

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

44

(159)

KONTAKT
30 X 83
cena
10 zł



NIECH PŁACZ NIE BUDZI SAMOTNEGO
CIENIA
ODESZLI – W WIECZNĄ KRAINĘ...
ISTNIENIA

III nagroda w konkursie
JAGUSIA '83

droga do raju

ALICJA CHWAŁCZYK

Jakby to był kogut, toby na
półak położył, łeb uduł i
szlus — spracowaną ręką
Sterniczka przeciąga po grdyce o-
kutanej w kraciastą chusteczkę.
Baby kiwają głowami. — Czterdzieś-
ci wdowów jest nas w Wólce, każ-
dy chce się politować, ale nie ma
jak.

— Ten ma matkę, ten ma dzie-
ci...

— Tamten nie wygoni, bo to prze-
cie nie pies, ale na noc swojego
posiania nie odda.

— Rózi nikt nie weźmie, bo każ-
dy ma własne kłopoty. Zofia Ster-
nik, lat 67, jej daleka krewna, ma
w domu mamusię, która dziesiąty
krzyżyk zaczęła, ale jeszcze pół
wiadra wody ze studni przyniesie.
Ciepłe miejsce przy piecu słusnie
jej się należy. Sterniczka większy
charłak była od mamusi, żołądek
już jej tak się od leków rozbuzo-
wał, że pojechała do Serwinki w
Tarle. Zięć zawiózł taksówką; wy-
trzęsło ją po drodze jak sprężynę
w miastowej kanapie, ale uzdrowi-
cielka nie zbałamuciła. Dała sznurki,
powiedziała, jak przygwoździć do
sufitu, w którą stronę ciągnąć. Te-
raz Sternikowa — zamiast lykać
prochy — robi gimnastykę i czuje,
jak jej wszystkie kości grają. Przez
to lepszy humor ma dla Rózi. Za
stołem ją sadza, herbatki zaparza.
Czasem umyć się pozwoli i wtedy
ma prawdziwą operę. Rózia potyka
się o sprzęty, wodę rozlewa, elek-
trycznej maszynki boi się jak og-
nia.

Genowefa Waleczak, lat 78, sama
chodząca o lasce, Rózi nie pomoże.
Sprzedała starą stodolę, żeby
mieć grosz na pochówek. Dzieci
się obraziły na matkę i gdy leżała
w szpitalu, nawet do niej nie zaj-
rzały. („Ojciec dobre, jak dają”).

Anna Mazurek, lat 81 dożywa na
łasce córki.

Starego Stachorzeckiego złapało
trzyście lat temu, gdy stał na
drabinie przy dachu swojej cha-
lupy. Teraz leży sparaliżowany po
zatorze mózgu. Troje z pięciorga
dzieci Zofii i Jana Stachorzeckich
wymigrowało z Wólki („Stare tru-
py we wsi, a młode ucieka do
miasta”), dwoje zostało na miejscu.
Starzy oddali ziemię za rentę; teraz

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Nie bójta się wójta”, czyli: wolność, Tomku, w swojej Wiznie ▲ jak się Jagusia Wawrzyńca Kłosńskiego nie mogła od chłopów opędlzić ▲ artystki z Białych Szczepanowic ▲ niezawodny horoskop ▲ „Kontakci”

NOWE MIESZKANIA o powierzchni 2217 m kwadr. zajęło we wrześniu 37 lokatorów. Wojewódzki plan mieszkaniowego budownictwa uspołecznionego był zrealizowany do końca września w 57,7 proc.

MNIEJ KUPUJEMY ALKOHOLI — w cenach stałych o 6,2 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym.

LEPIEJ PRACUJEMY. W przedsiębiorstwach uspołecznionych wzrasta produkcja. Szczególnie wysoki wzrost osiągnęły: Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokim Mazowieckiem, Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży oraz Zakłady Płyt Wiórowych w Grajewie.

DOSTAWY ŻYWCA nadal maleją (o 6,6 proc. mniej niż we wrześniu ub. roku), wzrasta natomiast skup mleka i jaj (odpowiednio o 10 proc. i 122,1 proc.). 10 października WZSMlecz wykonał plan skupu mleka na rok bieżący, w ilości 250.555 tys. litrów.

NOWY ZAKŁAD krawiecki, zatrudniający 15 osób, powstał w Kolnie przy Zakładzie Gospodarczym WZSR. Wykorzystano wolne magazyny. Szyć będzie, tak potrzebną i brakującą wciąż, odzież roboczą.

ŁĄCZNOŚCIOWCY OBCHODZILI 18 października swoje święto. Ostatnio mniej słyszy się narzekania na pracę poczty. Telefoniczny dzwonek brzęczy zaledwie czterem tysiącami abonentów w Łomży. Pod tym względem stoimy gorzej nawet od miast w województwie, bo np. Zambrów na około 20 tysięcy mieszkańców ma 2 tysiące telefonów. W Łomży na instalację aparatu czeka się 8 lat. Do końca września doczekało się tej przyjemności 566 osób w całym województwie.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe instancje partyjne? Odpowiadają sekretarze:

▲ **KG PZPR Trzciannie**: — Na posiedzeniu plenarnym omawialiśmy efekty i niedociągnięcia w funkcjonowaniu gminnej służby rolnej. WOPR-u, OSM, PPS-u w Łomży i leśnicy zwierząt. Temat najbliższej Egzekutywy: załatwianie skarg i wniosków kierowanych do naczelnika gminy, SKR-u, banku spółdzielczego i KG PZPR oraz ocena zebranych przygotowanych do kampanii sprawozdawczo-wyborczej w POP.

▲ **KMG PZPR Goniadz**: — Komisja współdziałania partii i stronnictw politycznych omawiała sprawę utworzenia w naszym mieście filii szkoły muzycznej. Tematem Plenum była opieka zdrowotna i socjalna w gminie. Rozszerzyliśmy skład komisji koordynacyjnej ds. opieki społecznej m.in. o przedstawicieli ZSMP. Egzekutywa oceni działalność POP w zakładach pracy. Chcemy zorganizować spotkania mieszkańców z członkami Rady Wojewódzkiej PRON.

▲ **KMG PZPR Grajewo**: — Tematem ostatniego Plenum były warunki osiągnięcia przez szkołę najlepszych wyników w działalności wychowawczej, dydaktycznej i opiekuńczej. Zapoznaliśmy się z informacją dotyczącą przestępczości i przejawów patologii społecznej oraz informacją o sposobie załatwiania skarg i listów obywateli, które wpłynęły do Komitetu w III kwartale br. Odbyła się narada I sekretarzy POP, kierowników zakładów pracy. Najbliższe posiedzenie Egzekutywy — to informacja o działalności Zarządu MG Ligi Kobiet Polskich oraz ocena pracy POP w Zespole Opieki Zdrowotnej.

Z OKAZJI DNIA Nauczyciela członkowie Prezydium WK ZSL spotkali się z pedagogami — członkami ZSL. Było to spotkanie okazją do wymiany poglądów na temat problemów rozwoju oświaty w środowisku wiejskim.

W WYSOKIM MAZOWIECKIM, Łomży i Kolnie odbyły się rejonowe spotkania urzędujących członków prezydium WK ZSL z członkami władz gminnych ZSL, delegatami na Zjazd Wojewódzki ZSL. Przedmiotem dyskusji były projekty dokumentów na IX Kongres oraz zadania instancji i kół ZSL przed IV Wojewódzkim Zjazdem ZSL.

ODBYŁO SIĘ PREZYDIUM WK ZSL na temat wdrażania reformy gospodarczej na przykładzie OSM w Wysokim Mazowieckim. Posiedzenie to zostało poprzedzone spot-

kaniem z producentami mleka we wsi Dąbrowa Dolegi (gmina Wysockie Mazowieckie), gdzie omówiono problemy związane z wprowadzeniem polskiej normy mleka.

CO SLYCHAC w organizacjach młodzieżowych?

▲ **ZSMP**. Tematem wspólnego posiedzenia prezydium ZW i prezydium ZMG w Jedwabnem była działalność organizacji, jej plany oraz podsumowanie akcji „Każdy kłós na wagę złota”, w której wzięło udział 198 członków ZSMP (przepracowali 2706 godzin). Z udziałem opiekunów grup wyjeżdżających podczas akcji letniej do NRD odbyło się zebranie poświęcone ocenie sposobu rekrutacji oraz samego pobytu młodzieży szkolnej u sąsiadów.

▲ **ZMW**. Trwa kampania sprawozdawczo-wyborcza w kołach wiejskich, szkolnych i zakładowych. Tematy: ocena dotychczasowej działalności kół, wybory nowych władz oraz delegatów na Zjazd Wojewódzki, który odbędzie się pod koniec stycznia przyszłego roku. Z okazji Dnia Nauczyciela ZW ZMW zorganizował wycieczkę do Warszawy dla opiekunów szkolnych kół ZMW. Trwają przygotowania do międzywojewódzkiego spotkania młodzieży w Hajnówce 5 XI 83. Młodzi rolnicy z Łomżyńskiego, Białostockiego i Suwalskiego podsumują wyniki akcji „Zbieramy plony jesieni”, oceną dorobek ZMW w pracy dla środowiska wiejskiego. Niebawem rozpocznie się jesienno-zimowy cykl szkolenia rolniczego.

ZHP. Zastępy zuchowe, harcerskie i starszoharcerskie uczestniczyły w biegu terenowym zorganizowanym przez Komendę Hufca ZHP w Łomży. Z okazji 40 rocznicy powstania LWP odbyły się spotkania z pracownikami Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego.

KOMENDA WOJEWODZKA OHP w Łomży podsumowała wyniki akcji „Lato '83”. Skorzystało z niej ok. 1000 chłopców i dziewcząt pracujących na zasadzie wymiany międzywojewódzkiej. Ponad 60 junaków przebywało w NRD, 38 wakacyjnych hufców zatrudnionych było na terenie województwa łomżyńskiego (w tym 6 spoza). Obecnie OHP liczy 20 komend szkolnych. Ani jedna nie istnieje w szkołach rolniczych. Dlaczego? W planach: utworzenie hufca żeńskiego dla sanitariuszek (sygnalizujemy to dziewczętom bez zawodu) i melioracyjno-rolnego w Grądach Wonięcku. W tym roku KW OHP będzie prowadzić nabór do stacjonarnego hufca i męskiego powyżej 18 roku życia. Chętni mogą zgłaszać się do siedziby hufca przy ul. Wesołej 117, tel. 20-82. Członkowie mogą uzupełnić wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej, zawodowej w ramach szkolenia kursowego. Istnieje też możliwość zdobycia prawa jazdy ciągnikowo-samochodowego. Junacy będą zatrudnieni w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Miećmy nadzieję, że zapotrzebowanie na ich pracę zgłoszą też inne instancje.

Z UDZIAŁEM OKOŁO 120 delegatów i zaproszonych gości odbył się III Zjazd Wojewódzki TPD w Łomży. Podsumowano działalność w okresie od 1979 do 1982 r. W dyskusji delegaci omawiali m.in. problemy organizacji kolonii zdrowotnych dla dzieci specjalnej troski, pomocy wychowawczej rodzinie w osiedlu mieszkaniowym, patologii i sieroctwa społecznego, dziecka wiejskiego, pozyskiwania ludzi do pracy w TPD. Zjazd zatwierdził program pracy na kadencję 1984—87, wybrał nowe władze i delegatów na IX Krajowy Zjazd Towarzystwa. Prezesem ZW TPD ponownie został Stanisław

Krasowski. Zasłużeni działacze TPD otrzymali medale i odznaki. Medal im. dr. Henryka Jordana — Eugeniusz Bujko i Automobilklub Łomżyński; Złotą odznakę Załużonego Działacza TPD — Kazimiera Modzelewska, Maria Giedroń, Teresa Miszkiewicz i Ludwik Żelechowski, odznakę Zasłużonego Działacza TPD — Wincenta Interewicz; odznakę „Przyjaciel Dziecka” — Janina Wójcik, Alicja Sawicka, mjr Włodzimierz Aleksiejuk i mł. chor. Zenon Piotrowski.

PO GORĄCYCH trzech letnich miesiącach strażacy mają chwilę oddechu. We wrześniu wyjeżdżali „tylko” do 27 pożarów. Najczęściej płoną gospodarstwa indywidualne. Przyczyna: nieostrożność dorosłych w obchodzeniu się z ogniem.

ŁOMŻYŃSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE im. Wagów oraz WPPW są organizatorami otwartych wykładów pod hasłem „Rynek i konsumpcja”. Spotkania z udziałem naukowców z SGPIS-u i Instytutu Pynku Wewnętrzny i Konsumpcji odbywają się w gabinecie im. Janiny i Piotra Bańkowskich w WDK, ul. Sadowa 12.

AUTOMOBILKLUB ŁOMŻYŃSKI zorganizował spotkanie z przedstawicielami wojska. Zapoczątkowało ono cykl szkolenia dotyczącego nowych przepisów ruchu drogowego. 4 listopada odbędzie się „Rajd bezpieczeństwa”, którego celem jest kontrola stanu technicznego pojazdów, bezpieczeństwo przewozów oraz przygotowanie samochodów do okresu zimowego.

WYNIKI MILICYJNEJ akcji „Światła” jeszcze raz potwierdziły brak odpowiedzialności kierowców i pieszych za bezpieczeństwo drożowe. Na terenie województwa łomżyńskiego funkcjonariusze MO skontrolowali 1099 pojazdów, ujawnili 533 wykroczenia (316 z powodu braku oświetlenia, 37 nieprawidłowo ustawionych świateł), ukarali 180 osób, skierowali 22 wnioski do kolegium, zatrzymali 29 dowodów rejestracyjnych za usterki techniczne oraz 10 praw za jazdę pod wpływem alkoholu.

Z PRZYJAZNYCH SZPAŁT. Coraz częściej obserwujemy nas z zewnątrz. Łomża i województwo pojawiają się na łamach dzienników i czasopism ogólnopolskich. Choć zainteresowanie przyciągają raczej, nie dostatek niż blaski naszego życia, pouczająca może być ich lektura. „Express Wieczorny” — „Kontrola NIK w Łomży, Grajewie i Zambrowie w 1982 roku wykazały, że na 14 odebranych budynków aż 8 nie nadawało się do zamieszkania (...)”. („Budowa skończona, czas zacząć remont”) oraz „Łomżyńskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego produkujące tkaninę na koszule i pościel poczuły się na naszym głodnym tchu właśnie produktów rynku — jak ryba w wodzie. «Rozszerzona struktura wątkowa i nadmierne wyciąganie w procesie wykończenia, zaniechanie kilku operacji, w wyniku których produkt nieco się skurczył — wszystko to dało zakładom w ciągu dwóch miesięcy nienależny zysk w wysokości prawie czterech milionów złotych». Elegancko wyrażają się kontrolerzy, kiedy powiadają «niezależny zysk». Ja bym powiedziała, że okradziono nas — klientów na cztery miliony złotych” — pisała Krystyna Zielińska w „Propozycjach do odrzucenia”. Natomiast „Życie Warszawy” uspokajało 16 października, że spośród 52 ofiar endemii — zatrucia włośniami w wędlinach pochodzących z zakładów mięsnych w Zambrowie, znaczna część opuściła już szpital w Łomży, Warszawie, Białymstoku i Zambrowie. Od siebie dodajemy, że przez ostatnie dwa tygodnie nie zanotowano nowych zachorowań, a w szpitalu zambrrowskim dzisiaj, tj. 24 października, przebywały już tylko dwie osoby.

POSCALI W ŁOM

Leszek Gomółka, prezes ZG TPD, Edward Millas, członek ZG TPD.

ZAPROSILI NAS

Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe na odczyt doc. dr. hab. Adama Dobrońskiego „Inteligencja łomżyńska na przełomie XIX i XX wieku” — 22 X. WK ZSL na debatę plenarną o funkcjonowaniu społeczno-zawodowej organizacji rolników — 28 X.

W ECI GŁOŚ

TRZCIANNE. Zakończyła się kontrola funkcjonowania w latach 1982—83 Urzędu Gminy, GS-u i placówek handlowych przeprowadzona przez inspektorów Urzędu Wojewódzkiego. Zainteresowani oczekują na wyniki.

■ Zadrą dokuczającą niektórym rolnikom stało się przekazanie ognisk gospodarstw następcom. Urząd Gminy wysłuchuje takich żalów niemalże każdego tygodnia. Konflikty rodzinne — powstające na tym tle — nierzadko opierają się o sąd. Zwykle dotyczą użytkowania sprzętu gospodarczego i dzielenia się zebranym plonem.

■ Mieszkańcy chętnie podejmują czynny społeczny. Największe zainteresowanie zyskała obecnie rowa ośmioklasowa szkoła w Łaskowcu. Zamówienie na materiały budowlane niezbędne do rozpoczęcia prac — złożone. Są szanse, aby następny rok szkolny dzieci rozpoczęły już w nowej szkole. Wartość inwestycji szacuje się na około 11 milionów złotych.

■ Modernizowana jest ulica 1 Maja aż po teren wsi Zucielec i Zubole. Koszt — 64 miliony złotych. Wykonano już kanalizację przeciwdeszczową przy ulicy Zucielskiej i 1 Maja. Jeszcze w tym roku półkilometrowy jej odcinek pokryje asfalt. Łada dzień rozpocznie się układanie chodników.

■ Rolnicy nie będą tej zimy nosić gumofilców. Natomiast buty zimowe bez trudności kupią mieszkańcy, których natura obdarzyła „mniejszą” stopą.

GONIADZ. Dzięki ofiarnej pracy strażaków Downarom przybędzie długo oczekiwany przez wieś obiekt: remiza i świetlica. 4-miesięczna przerwa w robotach spowodowała m.in. niesolidność rzemieślników, którzy nie wywiązali się z zawartych wcześniej umów. Mimo przeciwności losu mieszkańcy mają nadzieję, że jeszcze w tym roku nastąpi otwarcie.

■ Władze gminne martwią się spadkiem pogłowia trzody chlewnej, mimo że jest on niższy od średniej wojewódzkiej (18 proc.) i wynosi zaledwie 10 proc. Niestety, tak czy inaczej może to pozostać nie bez wpływu na wielkość skupu zwierząt.

■ Wreszcie samorządowi wsi Klewianka zaświeciła dobra gwiazda. Realizacja przedsięwzięcia pod nazwą „odmulanie” tuż. Plany przewidują oczyszczenie około 1800 metrów rzeki Boberki (mieszkańcy liczą na więcej!). Wykonawstwa podjęło się Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracji w Grajewie. Koszt — 670 tysięcy złotych.

■ W czynnie społecznym pracują rolnicy z Łazów i Białosukni. Remont starej nawierzchni i budowę nowych dróg utrudnia brak odpowiedniego sprzętu; mimo kłopotów mieszkańców Białosukni wybudowali już prawie 4-kilometrowy odcinek. Natomiast mieszkańcy Krzeczy nie zdradzają zainteresowania pracami „drogowymi”, chociaż mają z tym poważne problemy.

■ Zastanawia brak zleceń dla Zespołu Usług Projektowych na opracowanie dokumentacji przyłączy do poboru wody przez odbiorców indywidualnych w mieście. Wpłynęło ich zaledwie 8, podczas gdy w Szafrankach 34 rolników nie musi już korzystać ze studni.

RAJGRÓD. Wykopki dobiegają końca. SKR-y sprawnie uwinęły się z nawałem zamówień. Jakość świadczonych usług zadowoliła rolników. Nie wpłynęła ani jedna skarga.

■ Po wczasowiczach nie ma śladu. (Tego lata przyjechało ich około 13 tysięcy, rekord!). Szybko poprawiło się zaopatrzenie w pieczywo, gwałtownie spadła liczba wła-

CIĄG DALSZY NA STR 15



zdanie tygodnia

— Niczego nie zaczynamy w Polsce od punktu zerowego, ani jako naród, ani jako partia.

Wojciech Jaruzelski

myśl z ołosem

„Życie samo w sobie nie jest ani dobre, ani złe; jest miejscem na dobro i na zło; wedle tego czym je zapełnimie.”

Michel de Montaigne

W latach czterdziestych zrobiliśmy w naszej gospodarce to, co inni mieli już dużo wcześniej: przeprowadziliśmy reformę rolną i stworzyliśmy podstawy ustroju społeczno-politycznego. Wiązało się to z powszechną wędrowką ludów, z przemieszczaniem zależności społecznych, z naturalnym rozluźnieniem więzi, lecz także z awansem, oczywiście — historycznie słusznym, sprawiedliwym, ale nie zawsze rodzącym wyłącznie pozytywne konsekwencje.

Podnoszenie poziomu życia społecznego nie zawsze łączyło się z adekwatnym do tej sytuacji modelem kultury. Rosnący poziom wykształcenia (naturalny w latach 1950—60) nie owocował tak, jak się spodziewano i jak było potrzeba. Dążenie klas robotniczej i chłopskiej ku przemieszczeniu swych dzieci do warstw inteligentnej oraz do ujednolicenia kulturalnego całego społeczeństwa w latach zdevaluowało poczucie wartości kultury, norm współżycia i reguł postępowania, które występowały w owych klasach. O wiele łatwiej przyswajano sobie wzorce życiowe bardziej „nośne”, nie tyle miasta, co przedmieścia. Powodowało to i powoduje do dzisiaj taki fakt, że kultura wysublimowana charakteryzuje tylko bardzo wąskie kręgi.

Do miast trafiło wielu młodych ludzi z chłopskim rodowodem; takie były potrzeby kraju. Wtedy na wsi istniała i odgrywała ważną, pozytywną rolę nieformalna kontrola społeczna najbliższego kręgu rodziny i sąsiadów, która stanowiła swisty hamulec przed podejmowaniem działań nie akceptowanych przez środowisko. Ostracyzm takiej grupy jest oczywistą sankcją tych reguł postępowania. Młodzi ludzie, którzy znaleźli się w mieście, poculi się nagłym wyzwoleniem, ale jednocześnie — samotni w nowym środowisku. Taką postawą jest nagminna i nie ułatwia nawiązywania stosunków sąsiedzkich, zrozumiemia się.

W warunkach postępu technicznego wykwalifikowany pracownik, coraz bardziej wyspecjalizowany, korzysta z daleko idącej suwerenności przy swoim warsztacie pracy. Któż bowiem potrafi skontrolować montującego tranzystory pod mikroskopem? Jednocześnie jego wpływ na bieg sprawy całego zakładu był w latach siedemdziesiątych dość nikły. Tę niezgodność uświadamiała sobie coraz większa liczba ludzi. Można zaryzykować stwierdzenie, że dysproporcje awansu cywilizacyjnego są jedną z przyczyn obecnie przeżywanych trudności, ale stosunkowo łatwą do usunięcia.

Powróćmy jednak do sytuacji ludzi, którzy przenieśli się ze wsi do miasta. Sprawa zintegrowania lokalnych społeczności urosła do rangi problemu. Wynika on z szybko przyjętego wzorca awansu społecznego, aspiracji prezentowanych przez każdego z nas. Zwalazcza w latach siedemdziesiątych nastąpiła dominacja kultury posiadania rzeczy nad satysfakcją z uczestnictwa w życiu kulturalnym i wykorzystaniem możliwości oświaty. Upowszechniało się instrumentalne traktowanie wykształcenia. Być może jest to przejawskrawienie, ale częstokroć było ono odczuwane jako niezbędny warunek osiągnięcia lejszej pracy lub uzyskania wyższej rangi w hierarchii społecznej. To też zdolny tokarz, osiągający dobre zarobki, korzystał w odczuciu społecznym z mniejszego prestiżu niż mierny urzędnik. Zasiadanie za biurkiem nobilitowało, a stanie przy maszynie — degradowało. Ta skłonność do niebrudzenia sobie rąk przy pracy i posiadania jak największej ilości produktów — choć ułatwiających życie, nie zawsze jednak niezbędnych — nie poparta aktywnym udziałem w życiu kulturalnym, powodowała swoistą degradację. Model podziału na umysłowych i fizycznych funkcjonuje, nieestety, nadal i powoduje negatywne skutki społeczne.

W nowoczesnym zakładzie pracy przy maszynie stoi może nie inżynier, ale ktoś, kogo trudno określić jako tradycyjnego robotnika. Jest on suwerenem przy swoim warsztacie. Suwerenny w tym rozumieniu naukowiec lub twórca, także lekarz lub prawnik, posiada swoisty warsztat pracy, który jest jego indywidualną własnością, zakodowaną w jego szarych komórkach; od niego tylko zależy, czy w pełni wykorzysta swoje możliwości i posłuży się nimi dla ogólnego dobra. Wykorzystanie możliwości

Dylematem wspólnym dla wszystkich Polaków jest znalezienie miejsca w rodzinie narodów europejskich i ugruntowanie go dla przyszłych pokoleń. Jesteśmy społeczeństwem, które ma odmienną niż inne narody, głęboko zakodowaną w świadomości, przeszłość historyczną, wpływającą na motywy naszego postępowania. Przeżyliśmy rozbiory, ciężko doświadczyła nas II wojna światowa, borykaliśmy się z opóźnieniami w sferze materialnej i kulturalnej.

twórczych, jakie posiadamy w postaci ogromnych zastępów ludzi wykształconych, jest jednym z dylematów rzutujących na przyszłość.

Jeszcze większym są nasze wspólne aspiracje dotyczące bytu materialnego. Nie jesteśmy bowiem skłonni uświadomić sobie, iż jakkolwiek porównywanie Polski z najwyżej rozwiniętymi krajami przemysłowymi jest nieuzasadnione. Nie pamiętamy o tym, że mieliśmy inny poziom startu. Nie rozumiemy również, że niemożliwe jest nadrobienie tego dystansu w krótkim czasie. Polska z dużym potencjałem i znacznymi zasobami surowców naturalnych może go w przyszłości zmniejszać, ale osiągnięcie tego szczebla za życia jednego pokolenia jest niemożliwe.

Przyznać trzeba, że w latach siedemdziesiątych niewiele uczyniono, aby to błędne przekonanie zmienić; przeciwnie, podsycono nasze oczekiwania. Rezygnacja ze zbyt daleko idących aspiracji jest dziś i bę-

CHCIELI
CHCIEĆ



dzie w ciągu najbliższych kilku lat jednym z wielkich dylematów. Nie chodzi o to, abyśmy nie spodziewali się każdego swego mieszkania, nie chcieli jeździć samochodami. Trzeba tylko pamiętać, że i w tej chwili młodych rodzin przybywa więcej niż mieszkań. Takie są realia, i albo je sobie uświadomimy, albo poddamy się coraz większej frustracji.

Mamy zakodowany w przeszłości szlacheckiej szacunek dla tego, kto nie brudzi sobie rąk. A przecież nie w tych kategoriach powinno się wartościować ludzi. Jedynie osiągnięcia i efekty ich pracy mogą być kryterium oceny. Często można spotkać się z przykładem, iż młoda urzędniczka w gminie traktuje zasłużonego rolnika, nawet swego sąsiada, jak natręta, który przeszkadza w pracy, bo jest rolnikiem; a z faktu, że ona zasiadła za biurkiem, wynika „prawo” do pomiatania nim. Trudno znaleźć receptę na takie postępowanie; usta-

wa o wzajemnej życzliwości tego problemu nie rozwiąże, ale nie możemy ciągle pewnych naszych postaw, wzorców postępowania tolerować, nie można wciąż się rozgrzeszać.

Warto więc zwrócić uwagę na sprawę wzajemnego rozumienia się

i porozumiewania. Jesteśmy społeczeństwem różnicowanym. Nie brzmi to zdanie odkrywczo, ale podkreślam je, ponieważ jeszcze w latach siedemdziesiątych tak wiele mówiono o jedności moralnej i politycznej całego społeczeństwa, co zawsze chyba pozostanie postulatem. Natomiast w rzeczywistości nie tak łatwo znaleźć desygnaty tych postulatów, bowiem truizmem jest stwierdzenie, że dzielimy się na szczupłych i grubych, na blondynów i ciemnych, na kobiety i mężczyzn. Jeśli dodać jeszcze różnicowania wynikające ze względów religijnych, społecznego podziału pracy itd., otrzymamy niezwykle skomplikowany obraz. Stąd każde zorganizowane społeczeństwo musi wypracować mechanizmy umożliwiające korelację tych rozbieżności interesów, aby zachować niezbędną równowagę. W tej dziedzinie przeżyliśmy ogromny wstrząs, który się jeszcze nie skończył; nadal z niego wychodzimy.

Dużą rolę do spełnienia w procesie społecznego sposobu komunikowania się ma prasa. Nie sposób jej przeceniać. Jak jest ona odbierana jednak przez przeciętnego czytelnika? Istnieją znaczne grupy ludzi, którzy szukają w gazecie potwierdzenia swoich przekonań. Ich reakcja na zawartość gazety jest współmierna do spełnienia oczekiwań. Jest i inna grupa, która — jeśli jakkolwiek pogląd lub informacja jest niezgodna z oczekiwaniami — odrzuca zawarte w prasie treści, traktuje je jako wręcz niebyłe. Liczni w ogóle nie sięgają do prasy, nie korzystają z radia i telewizji jako środków przekazu informacji czy treści publicystycznej. W tych warunkach proces społecznego komunikowania się jest utrudniony.

Każde porozumienie musi być swoistym kompromisem, jeśli walczyć traktować jako alternatywę dla niego. Wiemy, jak trudne bywają kompromisy w jednej rodzinie, i każdy, kto w takiej sytuacji był, zna alternatywę. W skali całego narodu nie może być przecież rozwojów. Ale zawieranie owych kompromisów jest o wiele trudniejsze i współmierne do stopnia komplikacji wynikającej z poglądów, rozbieżności interesów itd. Znalezienie skutecznego sposobu prowadzenia rozmów, wspólnej refleksji, jest niezbędną, najpilniejszą koniecznością.

Dyskusje są ciągle potrzebne, a najbardziej w środowisku młodych, którzy dopiero wchodzi w życie. Starsi mają już jakieś doświadczenia, wnioski, i często trudno im zmieniać swoje poglądy. Natomiast młodzież jest bardziej labilna, chwiejna, najdotkliwiej odczuwa niedostatek rozmowy, wspólnej refleksji, obywatelskiego zastanowienia, opartego na doświadczeniu życiowym, rzetelnej wiedzy, prezentowaniu intencji, którymi kierują się ludzie we wzajemnych stosunkach między sobą. Wymaga to ogromnej armii społeczników, ludzi, którzy będą chcieli odkryć się, podjąć rozmowę i wspólnie się zastanowić, jaki etap osiągnęliśmy oraz co zrobić, aby kolejne były lepsze i znajdowały akceptację większości.

Nie jest to proste ani łatwe. W ludziach nagromadziło się wiele goryczy, a także niechęci do angażowania się w jakąkolwiek działalność społeczną. Warunkiem skuteczności podejmowanych działań jest zachowanie tolerancji dla odmiennych poglądów, szacunek dla dyskutujących i brak przekonania kogoś do jednej strony. Jeśli kompromis ma być sposobem rządzenia się wszystkich Polaków w przyszłości, w pojęciu „kompromis” mieścić się musi gotowość do wzajemnych koncesji. Czy jednak dotyczyć to może spraw, które są już rozstrzygnięte? Nie może. Polska, jak każdy inny kraj na świecie, jest jednym z elementów w układzie sił i tylko w powiązaniu z nimi może być traktowana jako partner.

Dialog powinien owocować zmianą postaw na co dzień, wyzwalać chęć działania. Za Wyspiańskim rzecz w tym: „aby oni chcieli chcieć”. Łatwo o tym mówić, o wiele trudniej taką sytuację spowodować. Ale przykłady wielu społeczności lokalnych — gmin czy małych miasteczek — dowodzą, że jest to możliwe, że to także sprawa sposobu prowadzenia dialogu i zrozumienia przez każdego z nas, że od niego także zależy, w jakich warunkach będzie żył i jak się będzie czuł wśród grona swoich najbliższych współobywateli, a także w gronie 38 milionów Polaków.

ABY
ALFRED
BESZTERDA

Polski dylemat: nadzieje i zważpienia



opieka

Odpowiadając na notatkę z dyżuru dziennikarskiego, zamieszczoną w 37 numerze tygodnika „Kontakty” wyjaśniam:

Każdy obywatel winien mieć poczucie obowiązku wobec swoich bliskich dzieci, rodziców i współmałżonków. Polski Czerwony Krzyż sprawuje opiekę nad ludźmi samotnymi, chorymi, pozbawionymi pomocy ze strony najbliższych. W wyjątkowych przypadkach opiekują się osobami chorymi, które zamieszkują wspólnie z rodziną. Kubrakowa nie sugeruje takiej opieki, ale opieka nad najbliższymi coraz bardziej zanika. Dzieci nie interesują się swoimi chorymi rodzicami, często starym utrudniają życie. Organizacja nasza nie może przejść obojętnie obok takich przypadków.

Jeżeli chodzi o chorą obywatelkę Jadwigę Remes, to jej dzieci i mąż nawet przez dwa dni w tygodniu (wolna sobota i niedziela) nie opiekują się nią, a oczekują na pomoc siostry PCK. Natomiast groźby telefoniczne ob Remes, ubliżanie i wyrzucanie z domu siostr pogotowia, nie są wcale godne aprobaty.

Osoba chora winna czuć ciepło ogniska domowego, mieć poczucie bezpieczeństwa, widzieć życzliwość najbliższych, czuć się potrzebną w rodzinie. Ale gdy sytuacja jest odwrotna, psychika człowieka chorego zmienia się. Siostry PCK, sprawując opiekę nad chorymi, często spotykają ludzi załamanych psychicznie.

Praca siostr nie jest łatwa, wymaga dużo cierpliwości i zrozumienia. Udzielają pomocy doraźnej w usługach higienicznych, pielęgnacyjnych i gospodarczych (zakupy). W wykonywaniu czynności napotykają na duże trudności, w sklepach, gdzie siostry PCK zaopatrują swoich podopiecznych poza kolejnością, otrzymują obelgi, złośliwości i wyzwiska od społeczeństwa — za co?

Każda z siostr jest szkolona przez Polski Czerwony Krzyż i ma pełną świadomość, komu służy — pomaga człowiekowi choremu. Każda zna dobrze zakres swoich obowiązków i stara się je wykonywać sumiennie. Siostra PCK jest również człowiekiem, ma rodzinę, ma własne życie i kłopoty, więc wolno jej chorować, wolno mieć wolny dzień (urlop) i nie należy poniżać jej godności osobistej. Siostry, które nie odpowiadają wymogom PCK, muszą odejść z pracy. Tu nie ma warsztatów i produkcji, tu jest człowiek i środowisko.

Na terenie Łomży mamy kilka środowisk trudnych, gdzie konieczna jest miesięczna rotacja siostr, bo dłużej nie są one w stanie pracować i wytrzymać psychicznie. Najbardziej przykre zjawiska są wtedy, gdy żona jest obłożnie chora, mąż z rozpaczą często zagląda do kieliszka, a dzieci nie znają obowiązku wobec swojej chorej matki nawet po godzinach pracy i w wolne dni.

Wiele osób wśród naszych podopiecznych jest wdzięcznych siostrą PCK za pełnią opiekę (świadczą o tym podziękowania pisemne od podopiecznych i ich rodzin). Zdarzają się również przypadki, że dzieci w czasie urlopu przyjeżdżają do swoich rodziców i opiekują się nimi. Są również takie rodziny, które uważają, że siostry pogotowia PCK będą spełniać rolę służącej: będą gotować obiady rodzinie, prać, sprzątać wille itp. Jest to mylne pojęcie, bo siostra ma obowiązek pomóc tylko człowiekowi choremu — zaspokoić jego najpilniejsze potrzeby.

Na terenie Łomży pracuje 51 siostr pogotowia PCK (13 osób przebywa na urlopach wychowawczych), które sprawują opiekę nad 149 podopiecznymi. Nadzór nad pracą siostr pogotowia PCK sprawują kierowniczkę punktów opieki — pielęgniarki dyplomowane z dużym stażem pracy.

WANDA HALINA KUBRAK
sekretarz Zarządu Wojewódzkiego PCK w Łomży

„Apeluję do złodziei”

Odpowiadając na zamieszczony artykuł z cyklu „Listy zza rzeki” pt. „Apeluję do złodziei” autorstwa ob. Henryka Galy („Kontakty” nr 36)

— Oddział Wojewódzki PZU w Łomży wyjaśnia, że poruszony problem dyskryminacji wsi w prawach do ubezpieczeń nie występuje. A to dlatego, że mienie gospodarstw rolnych jest objęte szeroką ochroną ubezpieczeniową od następujących zdarzeń losowych:

1) w budynkach i mieniu ruchomym — od pożaru, uderzenia piorunu, powodzi, gradu, wszelkiego rodzaju wybuchów, upadku pojazdu powietrznego, porażenia zwierząt prądem elektrycznym oraz huraganu i nadmiernego opadu śniegu,
2) w uprawach — od gradobicia i powodzi.

3) zwierzęta gospodarskie (konie, bydło i trzoda chlewna) — od padnięcia i obicia z konieczności.

4) ponadto Państwowy Zakład Ubezpieczeń obejmuje ochroną w ubezpieczonym budynku oraz mieniu ruchomym szkody powstałe wskutek zaginięcia lub kradzieży dokonanej w czasie zdarzeń losowych wymienionych w pkt 1.

Na wsi prowadzone jest również ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej rolników. Z tego tytułu PZU ponosi odpowiedzialność za szkody spowodowane przez rolnika na osobie lub mieniu w związku z działalnością gospodarstwa rolnego. Są to ubezpieczenia wynikające z mocy ustawy.

Niezależnie od ubezpieczeń obowiązkowych, w gospodarstwach rolnych prowadzone są ubezpieczenia dobrowolne zwierząt i upraw. Natomiast ryzyko ubezpieczenia od kradzieży z włamaniem na wsi nie jest prowadzone, gdyż dotychczas nie zachodziła taka konieczność w ramach obowiązujących przepisów. Jednakże ryzyko kradzieży włazono, jak podano wyżej, w przypadkach zaistnienia określonego w punkcie 1 zdarzenia losowego, i to bez pobierania dodatkowej składki.

Twierdzenie Autora listu o kardynalnie niskich kwotach odszkodowań za utracone plony lub inwentarz żywy jest nieprawdą i świadczy o nieznanym tego tematu.

We wszystkich rodzajach ubezpieczeń majątkowych odszkodowania ustalane są według aktualnych na dzień szkody cen obowiązujących

w ubezpieczonych jednostkach. Wyjątek stanowi ubezpieczenie zwierząt, tj. konia i bydła, gdzie wysokość odszkodowań ustala się na podstawie wartości normowych. Z kolei wartości te również ustalane są w oparciu o obowiązujące ceny skupu żywca wołowego oraz koni rzeźnych i nie są one takie niskie, skoro z tego powodu nie ma reklamacji. Oczywiście rolnicy mogą ubezpieczać na wyższe kwoty, o ile dana sztuka bydła lub koni przedstawia wysoką wartość, ale już w ramach dobrowolnego ubezpieczenia. Każdy taki przypadek zgłoszenia jest i będzie chętnie załatwiany. Autor uważa, że obowiązujące ceny detaliczne urzędowe są karykaturalnie niskie, ale sprawa ta nie leży już w gestii PZU, a należałoby kierować ją pod adresem kompetentnych władz.

Autor, występując w obronie rolników, proponuje wprowadzenie ubezpieczenia od kradzieży z włamaniem i rabunku mienia rolników. Nie podaje jednak, jakiego rodzaju mienie miałoby wchodzić w zakres ubezpieczenia. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że większość mienia rolników, tj. ziemiopłody, inwentarz żywy i maszyny rolnicze, przechowywane w pomieszczeniach bez jakiegokolwiek zabezpieczenia: pod wiatami lub pod gołym niebem. Wprowadzenie więc tego ubezpieczenia wiązałoby się nie tylko z obowiązkiem opłacenia składki, ale również z obowiązkiem właściwego zabezpieczenia mienia przed kradzieżą, tj. przechowywanie go w wyłącznie zamkniętych na zamki zapadkowe pomieszczeniach, co w praktyce jest niemożliwe.

Zdaniem Oddziału Wojewódzkiego PZU, nie ma potrzeby wprowadzania tego rodzaju ubezpieczenia, gdyż brak na nie zapotrzebowania społeczeństwa wsi. W dotychczasowej praktyce Oddział Wojewódzki nie spotkał się z takimi postulatami rolników, a zatem subiektywne podejście Autora do poruszonego problemu nie może być traktowane jako życzenie ogółu społeczności wiejskiej.

Według rozsznargowania PZU, Autor posiada działkę gruntu o powierzch-

ni ponad 0,5 ha wraz z budynkiem mieszkalnym murowanym o łącznej powierzchni użytkowej 190 m kwadr. oraz magazynem murowanym o powierzchni 60 m kwadr. Budynki te trudno nazwać szalasem, ponieważ, według słownika polskiego, „szalas — jest to buda naprędcie sklecona, która służy jako tymczasowe schronienie pastarzom, myśliwym itp.”

Zgodnie z przepisami PZU i nie tylko, posiadłość ta zakwalifikowana jest do grupy gospodarstw rolnych. W związku z tym nie jest możliwe stosowanie przepisów dotyczących dobrowolnych ubezpieczeń mieszkań. Jednakże po porozumieniu z centralą PZU ustaliliśmy, że możliwe byłoby objęcie dobrowolnym ubezpieczeniem takich nietypowych gospodarstw po uprzednim udokumentowaniu, iż ich właściciele nie zajmują się zawodowo rolnictwem, a działki użytkowane są jako tereny rekreacyjne.

Odnosząc poruszoną sprawę o podwójnym ubezpieczeniu mieszkań na wsi i w mieście, PZU nie zna takich przypadków. Obywatele posiadający mieszkania w mieście są zameldowani tu na stałe i nie figurują w rejestrze gruntów, co dokumentują Spółdzielni Mieszkaniowej odpowiednimi zaświadczeniami z urzędów gminnych. O ile Autor zna takie przypadki, powinien je ujawnić władzom administracyjnym, które pozbawiłyby takich obywateli podwójnych mieszkań. Byłoby to słuszne z obecną polityką mieszkaniową państwa.

Jednocześnie wyjaśniam, że Oddział Wojewódzki PZU nie ustala przepisów, a działa w oparciu o akty prawne wydane przez Sejm (ustawy), Radę Ministrów (rozporządzenia) i Ministerstwa Finansów (zarządzenia). Dlatego nie rozumiem, jak Autor nazwa jakąś osobą określenie państwo — „nikt”. Z naszej strony, niezależnie od tego, kto poniesie szkodę — czy osoba prywatna czy jednostka uspołeczniona — odszkodowanie wypłaci zawsze Państwowy Zakład Ubezpieczeń, tym, który ubezpieczył. Twierdzenie, że odszkodowanie wypłaca „nikt”, jest zbyt uproszczone.

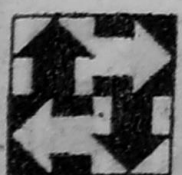
Na zakończenie prosimy o bardziej wnikliwe zapoznawanie się z problemami, które podawane do szerokiej wiadomości w postaci niepełnej, mogą przedstawiać zniekształcony obraz działalności Zakładu. Dotyczy to nie tylko zakresu ochrony ubezpieczeniowej, ale również wysokości wypłaconych odszkodowań i świadczeń. Jako przykład „niskich odszkodowań” z ubezpieczeń rolnych podajemy, że za pierwsze półrocze bieżącego roku OW PZU w Łomży za 14 029 szkód wypłacił rolnikom kwotę 212 216 tys. zł, co stanowi 85,5 proc. zainkasowanych składek (248 000 tys. zł).

mgr JAN LENARD
dyrektor Oddziału Wojewódzkiego PZU w Łomży

OD AUTORA: ależ tak, dyrektor Lenard we wszystkim ma rację, bo powołuje się na przepisy. Tylko życie nie chce” jakoś tych reguł respektować i kradzieże oraz włamania są coraz częstsze na wsi, podobnie jak uszkodzenia mieszkań związane z zawadnością zainstalowanych w nich nowoczesnych urządzeń. Widać leciwość PZU udziela się jego pracownikom i dopiero nacisk społeczny może zmusić ich do zmiany przepisów. Póki to nie nastąpi, wypada apelować do złodziei, aby rabowali jedynie podczas zdarzeń — wymienionych w pierwszym punkcie, czyli w czasie klęsk żywiołowych.

A teraz serio — nie chodzi mi o wyjątek, który umożliwiłby mi ubezpieczenie mojego „szalasu” (jak widać z listu, jest wystarczająco czytelna metaforyczność tej budowli na użytek „Listów zza rzeki”), ale o to, aby przezorny mieszkaniec wsi mógł złagodzić skutki okradzenia go, a może również — chce sprostać warunkom umowy — zabezpieczyć swoje mienie. Resztę mojego felietonu radzę potraktować jako ironiczną licentia poetica.

Prof. GABOR LÖRINCZY



AFERA PIWNA (2)

W Łomży nie znalazłem się przypadkowo. Pochodzę stąd, więc mój powrót można traktować jako zaspokojenie pewnych tęsknot. Żeby jednak nie rozkładać się zbyt daleko — miałem w tym interes. Przyjechałem jako przedstawiciel Gminnej Spółdzielni w Wejherowie z zamiarem dogadania się z łomżyńskim PPS-em w sprawie zakupu 40 tysięcy butelek piwa. Mówiąc



szczerze nie liczyłem na wiele: przecież był to już październik, niemal koniec roku. O dziwo jednak dyrektor M. przyjął zamówienie bez najmniejszych oporów. Ba! zaakceptował nawet plan dostaw na rok następny — 600 tysięcy butelek! Gdańskie piwo nie jest najlepsze, łomżyński full bardzo szybko więc przypadł Kaszubom do gustu. W poniedziałek przywieźłem 20 tysięcy butelek, a w czwartek nie było już ani jednej. Wykupowali je m.in. właściciele prywatnych restauracji. Brali jednorazowo po 100–200 sztuk. Kiedy stało się to nagminne, nie pytając nikogo o zgodę powiedziałem im: „Panowie, ja nie spłacam nocami płace za transport; jeżeli chcecie mieć to piwo, musicie partycypować w kosztach”. Zadeklarowali od 2 do 5 złotych za butelkę. I tak się ułożyło...



Podczas któregoś z moich kolejnych pobytów w łomżyńskim browarze zostałem poproszony do gabinetu dyrektora M. Zna pan zapewne stara kupiecką zasadę? — powiedział — Coś za coś. Od dzisiaj nie ma pan u nas piwa. Chyba że... Od zaraz potrzebujemy pięć sztuk wózków podnośnikowych typu Rak”.

Dyrektor okazał się konsekwentny. Tego dnia rzeczywiście nie dostałem ani butelki. Zacząłem się więc rozglądać w Suchedniowie co prawda odorawiono mnie z kwitkiem, ale już w gliwickim „Zrem-bie” popatrzone łaskawym okiem... W PPS-ie witali mnie jak zbawcę. „Zielone światło dla pana Zdzisława” — słyszałem. Kilka miesięcy później dostałem nowe zadanie: załatwić akumulatory do samochodów Jelcz” i „Star”. Załatwiłem 150. Dyrektor M. śmiał się od ucha do ucha: „Jestem teraz najbogatszym dyrektorem w województwie”. Potem przysłał kolej na pana bitumiczną oponę, błachę ocynkową falista. Te moje dodatkowe obowiązki orzynały mi (oprócz możliwości dalszego kupowania piwa) jeszcze jedną wymierną korzyść: zawierałem masę nowych znajomości. Nie bez powodu mówiło się w Łomży: „Jeżeli nie możesz gdzieś czegoś załatwić, wyślij tam S”.

W czerwcu ubiegłego roku znalazłem się na małym rozdrużu: zakończyłem współpracę z GS-em w



Wejherowie, nie miałem już upoważnienia do zakupu piwa, skończyły się więc i interesy. Przez jakiś czas byłem praktycznie bezrobotny. Agenci, z którymi handlowałem, nie rezygnowali jednak łatwo: przychodzili, nagabywali. Chwilami byli wprost nachalni. Któregoś dnia zdecydowałem się; postanowiłem jeszcze raz pojechać do Łomży i dogadać się, tym razem z dyrektorem hotelu. Przysłał na moją propozycję entuzjastycznie.

W poprzednim numerze przedstawiliśmy zarys tzw. afery piwnej i wypowiedź dyrektora jednego z zakładów zamieszanych w tę sprawę. Dziś wypowiedź — okrojona z pewnych szczegółów ze względu na dobro trwającego jeszcze dochodzenia — Zdzisława S., uważanego w swoim czasie za męża opatrzeniowego kulejącego łomżyńskiego zaopatrzenia.

Mniej więcej w tym samym czasie dogadałem się też z kierownikiem Domu Handlowego nr 188 w Gdyni. Dostałem od niego pełnomocnictwo do weryfikowania i zakupu towarów. Tym sposobem znowu udało mi się powiązać porozrywane nici. Od tej pory jednak handlowałem już nie tylko samym piwem. Wozilem do Gdyni przetwory owocowo-warzywne, glukozę, gro-novit, makę ziemniaczaną, tkaniny (z „Narwi”). Handlowa dewiza „coś za coś” nabrała w tych warunkach szczególnego znaczenia. Posłużyła się przykładem. W styczniu PPS organizował choinkę dla dzieci pracowników. Potrzebne były słodczyce. Pojechałem do Gdyni, zawiozłem pół-tonnej tony maki ziemniaczanej. Na wniosek Domu Handlowego prezes tamtejszego WSS-u zwolnił pół tony słodczych z reglamentacji. Kilka dni później wiozłem do Gdyni 15 tysięcy m. tkaniny pościelowej, zasłanowej, koszulowej i sukienkowej w zamian za 2,5 tony cukierków przeznaczonych dla „Narwi”.

Przejęciowe kłopoty nie popsuły dobrych układów z PPS-em. W lutym udało mi się jeszcze załatwić buty i ubrania robocze dla pracowników Przedsiębiorstwa i... w zasadzie były to już moje ostatnie podrygi. 21 marca zostałem aresztowany.

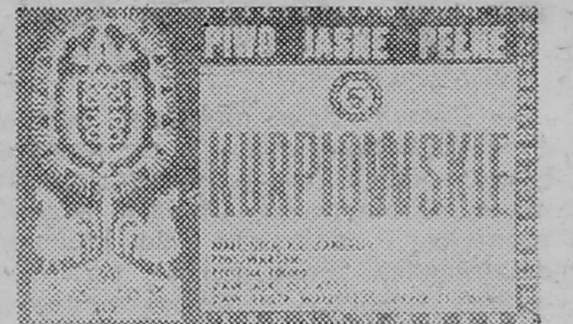
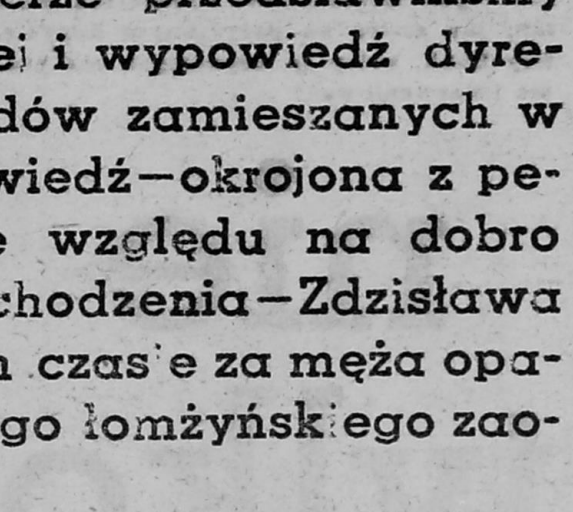


Podobno, jestem milionerem. Nie jeden o mojej fortunie mówi z bliskim w oku. Ponieważ jednak nie wybudowałem domu, nie kupiłem samochodu, przypuszcza się, że te pieniądze albo gdzieś ukryłem, albo wpakowałem w jakiś intratny interes. A tak naprawdę — mogę to w każdej chwili udowodnić — zostało mi wszystkiego około 600 tysięcy złotych. Reszta poszła na „wyrabianie wejść”, podróże, kolacyjki. Czy mogłem np. iść do naczelnika zjednoczenia i powiedzieć mu, ot, tak sobie: „Podpisz pan”? On nie był taki wspaniałomyślny. Poza tym od 1982 roku nie robi się już dobrych interesów. Co można zwojować przy 25-procentowej marży w lokalu? To nie wcześniejsze 50–150.

Mógłby ktoś zatem zapytać, dlaczego w pewnym momencie z tego nie zrezygnowałem? Może nikt mi teraz nie uwierzy, ale naprawdę chciałem. W końcu 1982 roku, kiedy weszła w życie ustawa antyspekulacyjna, byłem nawet zdecydowany pójść do prokuratora, zrzucić z siebie cały ten balast. Tak to jednak ze mna bywa, że nie zawsze słucham

własnego głosu rozsądku, a potem było już za późno na zastanowienie się, w imię czego i dla kogo to robiłem.

Gdybym miał na to odpowiedzieć w tej chwili... Nigdy nie potrafiłem zbyt długo usiedzieć w jednym miejscu. Tkwi we mnie jakaś pasja, która każe mi być w ciągłym ruchu. Teraz wydaje mi się, że sprawdziłbym się na etacie zaopatrzeniowca, ale wtedy... Byłem samotny, nie zależało mi na żadnej życiowej przy-



COŚ ZA COŚ

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY



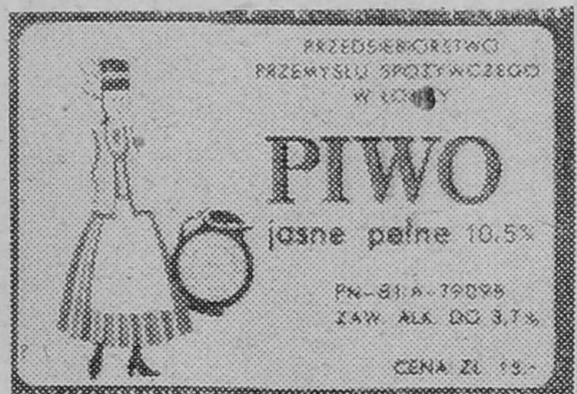
stani. Nie miało dla mnie większego znaczenia to, czy jestem w Gdyni, Katowicach czy w Warszawie. Od jesieni ubiegłego roku wszystko się zmieniło. Spotkałem kobietę — przyjaciela.

Jestem z wykształcenia technikiem ekonomista. Swoją sprawność zawodową jednak chyba przede wszystkim rutynie. Stykałem się z wieloma ludźmi. Sam nie potrafię pięknie mówić, ale chętnie słuchałem tego co mówili inni. Dużo czytałem i wyciągałem wnioski. Przydała się też bardzo pewna cecha mojego charakteru: wścibskość, nieustępliwość. Wypraszała mnie jednymi drzwiami, wchodziłem drugimi; jak trzeba waruję 48 godzin — do skutku. U nas nie załatwi się niczego za biurka. Trzeba brać papieri w teczkę i — w Polskę. Wbrew temu co się sadzi, w hurtowniach jest pełno towaru. I można go kupić bez narażania się na artykuły kodeksu karnego. Niestety sam zbyt późno się o tym przekonałem. Wybrałem, tak mi się przynajmniej



wydawało, drogą najłatwiejszą: od śniadanka do kolacyjki.

Mit o braku wszystkiego tworzą przede wszystkim sami zaopatrzeniowcy. Nie może być jednak inaczej, skoro wszystko chce załatwiać telefonicznie, a „swoja szacowna” rusza co najwyżej na giełdę do Poznania. Niedawno w pewnym sklepie spożywczym w Łomży byłem świadkiem wielkiej awantury. Biedna kierowniczka tłumaczyła się wściekłym klientom, że niczego nie ukryła, lecz dostała jedynie 18 opakowań bobo-frutu. Dlaczego cierpią sklepowe i denerwują się klienci? Bo branżystka z WSS-u wypisała zamówienie, włożyła kopertę, nawet wysłała i spokojnie czekała na przydział, a po trzech miesiącach dostała potwierdzenie, lecz na mocno „obciążoną” ilość. Tymczasem, zaręczam, jeszcze dzisiaj jadę do Rzeszowa i przywożę cały transport odżywek. Któremu dyrektorowi nie zmieściłoby serce, gdybym go przez kilkanaście godzin męczył obrazami biednych łomżyńskich dzieci, czekających na wspaniałe soczki?



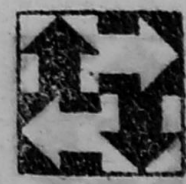
Przesadzam? Niezupełnie. Swego czasu brakowało w Łomży musztardy. Podpowiadałem WSS-owi, że w Gdańsku jest jej pełno i można sprowadzić na formalne zamówienie. „Nie, to nie jest realne — usłyszałem”. Poprosiłem o samochód i zamówienie. Pojechałem, przywiozłem. Nie było ryb. Białystok „kapal” na zasadzie: „co z pańskiego stołu”, tymczasem ja wiedziałem, że jest ich w bród, ale trzeba się po nie pofatygować na Wybrzeże. W końcu załatwiłem (choć nie miałem z tego ani centa), że w każdy wtorek trafiało do łomżyńskich sklepów 5 tysięcy sztuk marynat. Zdaje sobie sprawę, że dla mnie nie było to trudne, bo mam w Zakładach Rybnych kolegów, a rzeczywistość jest już taka, że jeżeli chce się handlować, nie wolno zapominać o znajomościach. Telefoniczne kontakty są łatwiejsze, ale zupełnie nieskuteczne. Gdyby zaopatrzeniowiec z WSS-u jeździł po kraju, wiedziałby, że w Przedsiębiorstwie Artykułów Importowanych w Gdyni pod dostatkiem jest nawet herbaty.

Niewiele jest zaopatrzeniowców z handlową żyłką i dobrym nosem, dlatego nasze sklepy, kawiarnie, bary wyglądają tak, jak wyglądają. Mam zamiar poprosić prokuratora o zezwolenie na tymczasowe podjęcie pracy. Chciałbym zostać branżystą w tutejszym WSS-ie. Myślę, że łomżyńscy odczuliby szybko moją działalność.

Różne na mój temat krąży opinie; w większości pozytywne, ale, przypuszczam, również negatywne. Niektórzy mogą mi wytykać niesłowność, niepunktualność. Zgodzę się z tym, ale z pewnym zastrzeżeniem — czego można było ode mnie wymagać, jeżeli — przy wiadomych trudnościach gospodarczych — składało się zamówienie za pięć dwunastą? Najgorzej jednak zachowują się te osoby, które jeszcze nie tak dawno były mi tak wdzięczne za załatwienie mebli, sztruksów, garsonczki... Teraz w rozmowach nie zostawiają na mnie suchej nitki, a na mój widok przechodzą na drugą stronę ulicy. Przecież nie jestem łajdakiem. Nikogo nie okradłem, nie oszukałem, nie naciagnałem. Pod tym względem moje sumienie jest czyste. Zawiniłem w jednym, czasami w swojej działalności rozumiem, że z prze-

5
KONTAKTY
30 X 83

penetracja



O trudnych pieniądzach, hojności Banku, upadłości niesumiennych dłużników — ze Stanisławem Radziszewskim, dyrektorem Oddziału Wojewódzkiego Banku Gospodarki Żywnościowej w Łomży — rozmawia Wiesław Kołowski.

WIESŁAW KOŁOWSKI: — Co oznacza określenie „trudny pieniądz”?

STANISŁAW RADZISZEWSKI: — Pieniądze wypłacane przez Bank przedsiębiorstwu powinny nie tylko pokryć koszty przedsięwzięcia, ale przynieść zysk. Słowem: muszą zostać przez otrzymującego kredyt pomnożone. Wcześniej Bank ocenia potencjalną i faktyczną wypłacalność pożyczkobiorcy, a potem bezwzględnie egzekwuje zwrot kredytu. Niesolidnym dłużnikom narzuca zastrzeżone warunki spłat, np. podnosi oprocentowanie z 7 do 18. Nie otrzymują oni nowych kredytów, przez co czasem ulegają likwidacji, np. Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Danowie, w związku z niewypłacalnością, znajduje się w stadium rozwiązywania, a Spółdzielnia w Orzechówce jest kredytowana pod ścisłą kontrolą Banku w oparciu o program uzdrawiania. Na początku roku odmówiliśmy kredytu Spółdzielniom Usług Rolniczych w Bogutach i Szepietowie. Zatem „trudny pieniądz” to taki, którego

zbóż spod kombajnów. Prosperują więc tak, jak szewc na pożyczonym kopycie. Czy Bank, który je wspomagał, ma prawo interweniować?

nie tylko

— Rzeczywiście, niektóre SKR-y zbyt pochopnie pozbili się maszyn (gazety zapelnione były informacjami o przetargach). Chciały zdobyć pieniądze potrzebne do bieżącej działalności. Może jednak powinny więcej środków z wypracowanych zysków przeznaczać na powiększe-

tów rolnych. Jednakże każdy wniosek o kredyt na zakup maszyny rozpatrujemy indywidualnie i, w miarę możliwości, staramy się pomagać. Nie możemy z całą pewnością udzielać pożyczek tym rolnikom, którzy sami posiadają wystarczającą ilość pieniędzy.

— W miastach młode małżeństwa otrzymują kredyty tylko po przydziale nowego mieszkania. Czy taki sam warunek obowiązuje na wsi?

— Skończyły się czasy, kiedy kredytu udzielało się wszystkim chętnym. Na wsi, podobnie jak w mieście, młode małżeństwo może otrzymać oprocentowaną pożyczkę, jeśli przeprowadza się do nowego domu. Jest tu dodatkowe ułatwienie: dom nie musi być własnością małżonków; wystarczy, jeśli będą mieszkali wspólnie z rodzicami. Natomiast kredyt na budowę domu młode małżeństwa otrzymują na tych samych zasadach, co inni mieszkańcy województwa, tyle że w pierwszej kolejności, czyli nie muszą w ogóle czekać.

— Jaki jest rodzaj Banku Gospodarki Żywnościowej?

— BGŻ powstał z połączenia dwóch jednostek bankowych: byłego Banku Rolnego i Centralnego Związku Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych (CZSOP). Celem tego mariażu było przede wszystkim ułatwienie obsługi finansowej i kredytowej rolników indywidualnych oraz jednostek gospodarki uspołecznionej. W SOP-ie, który znaj-

kontakty kontaktów

Rok temu zostało przyznane nam mieszkanie zakładowe, lecz w dalszym ciągu nie możemy wprowadzić się do niego, ponieważ zajmują je nadal pracownicy zakładu. Pracownik ten wybudował sobie dom piętrowy, który jest już wykończony i do którego mógłby się wprowadzić. Ale prawdopodobnie przepisał cały dom na syna, a sam pozostał w mieszkaniu zakładowym.

Kiedy mąż interweniował w tej sprawie u kierownika sekcji gospodarczej, usłyszał: „Niech się pan nie martwi, pan Kukliński nie przepiše domu synowi, bo tak nie wolno zrobić”. Ale upłynęło już kilka miesięcy, a pan Kukliński w dalszym ciągu zajmuje mieszkanie. Natomiast przy następnej wizycie u kierownika dowiedzieliśmy się, iż mieszkanie nasze będzie nadal zajęte, bo jego obecny właściciel przepisał dom synowi. Interweniowaliśmy również u dyrektora zakładu, który potwierdził, że „to mieszkanie jest patykiem po wodzie pisane”.

Obecnie mieszkamy w wynajętym mieszkaniu (26 m²), za które miesięcznie płacimy dość sporo. Jest ono małe, ciemne i bardzo wilgotne. Jak pada deszcz, to cieknie nam po ścianach, natomiast gdy wieje wiatr strach w nim siedzieć. Teraz jest już w naszym mieszkaniu bardzo zimno. Pewnie od tego zimna i wilgoci często chorują nasze dzieci.

WANDA FORYS
ŚNIAĐOWO

Trudności w zaopatrzeniu stwarzają wiele napięć i nieporozumień między konsumentami a personelem sklepów. Prawie codziennie spotykamy się z różnymi nieprawidłowościami. Jednakże coraz częściej trafiamy się sklepy, w których personel skutecznie łagodzi wszelkie trudności. Do takich placówek handlowych należy zapewne sklep numer 31 WSS w Zambrowie. Klienci są tam zawsze uprzejmie obsługiwani przez kulturalne i uśmiechnięte ekspedientki.

Na pochwałę zasługuje również wygląd tego — zawsze czystego i często ukwieconego — lokalu.

Proszę o zamieszczenie tych kilku uwag, gdyż uważam, że personel tej placówki w pełni zasługuje na takie wyróżnienie.

KLIENTKA
(imię i nazwisko
do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: spełniamy prośbę naszej Czytelniczki z Zambrowa o raz prośby Czytelników z Łomży, którzy telefonicznymi sygnałami informują nas o wyjątkowo uprzejmej obsłudze w sklepie nr 49-50 przy ul. Świerczewskiego, Delikatesach przy placu Kościuszki i sklepie numer 43 Spółdzielni Inwalidów „Razem” przy ul. Sciegiennego w Łomży.

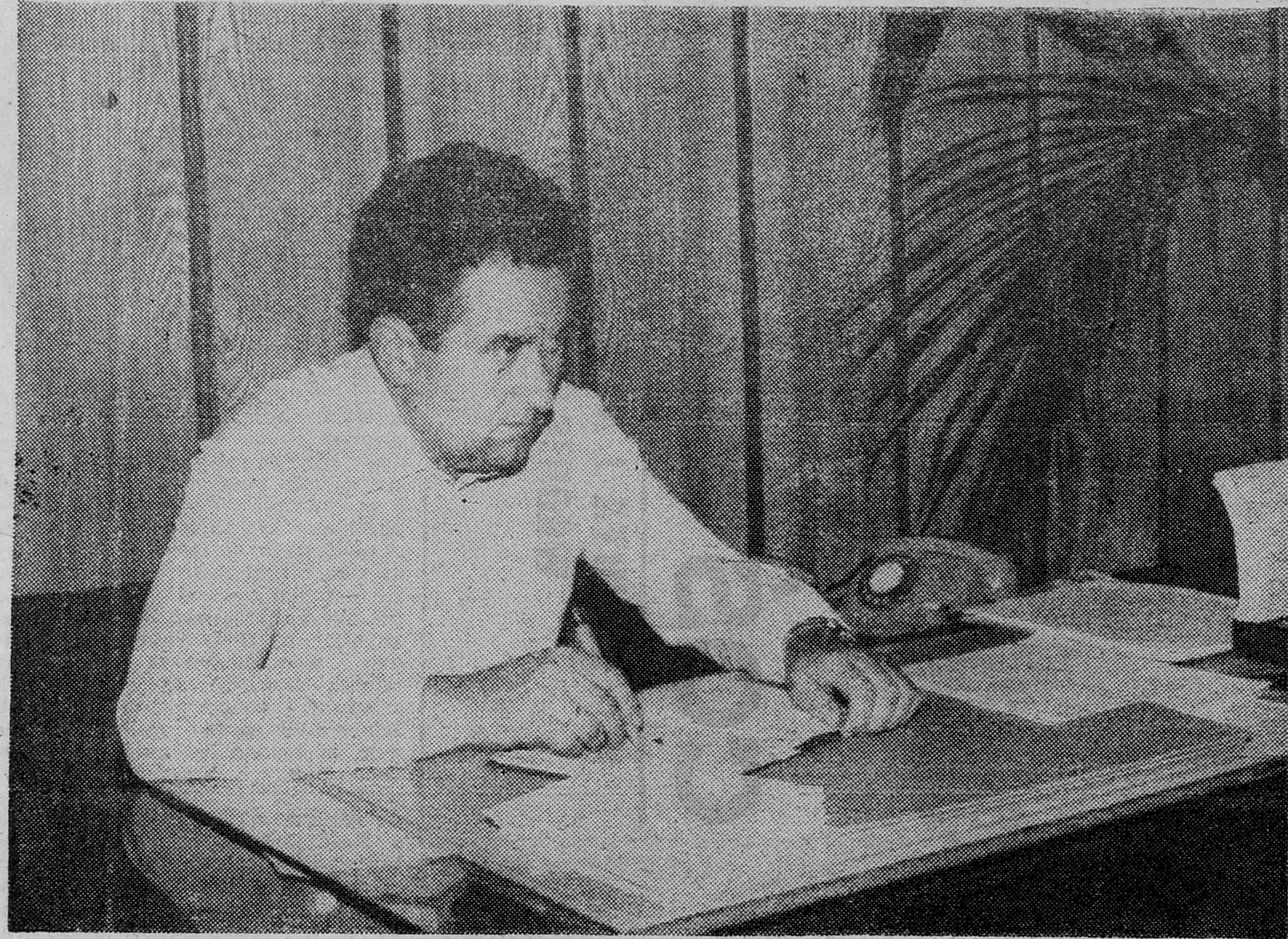
Byłam na meczu „Kontaktów” z „Kurierem Podlaskim”. Zawiódł on oczekiwania nie tylko moje, ale chyba całej nielicznej, choć zapalanej — skoro nie odstraszył jej deszcz i zimno — grupy sympatyków imprez sportowych. Sama gra byłaby z pewnością widowiskowa i atrakcyjna, gdyby oprawił ją w lekkim humorystyczny komentarz. A tak, mimo wysiłków zawodników, impreza się nie udała. I to znowu przez złą organizację: popsute głośniki i brak osoby prowadzącej zabawę.

A oto krótki wierszyk po niedzielnym meczu:

I chociaż nasze „Kontakty” 6 do 3 wygrali, nie przysporzyły ni rozrywki, ni chwały, lecz ceniemy je za to, że coś zrobić chcieli.

CZYTELNICZKA Z ŁOMŻY

OD REDAKCJI: przepraszamy wszystkich naszych wiernych kibiców za ten minus imprezy, choć nie my zawiniliśmy. Specjalnie na tę okazję zaprosiliśmy do Łomży redaktora Janusza Atlasa, by relacjonował przebieg meczu, a jego poczucia humoru nie trzeba chyba reklamować. Jednakże nie mogliśmy go usłyszeć, gdyż okazało się, iż sprzęt nagłaśniający na stadionie jest zepsuty. Rzeczywiście zubożyło to zabawę.



praktycznie nie można spuszczać z oka.

— Kto może liczyć na Waszą hojność?

— Bank nie jest instytucją charytatywną. Kredyt powinien jedynie uzupełniać środki własne, posiadane przez kredytobiorcę. Na otrzymanie pożyczki może liczyć każdy, kto gwarantuje jej spłatę. Musimy uwzględnić uchwałę Sejmu, która określa granice pomocy finansowej. Potrzeba wyżywienia ludności zobowiązuje nas do udzielania w pierwszej kolejności kredytów mleczarniom i zakładom przetwórstwa owocowo-warzywnego. Np.: mimo ograniczeń w inwestowaniu, nie została wstrzymana budowa mleczarni w Wysokim Mazowieckiem.

— W wielu gminach pojawiły się tendencje do powoływania samodzielnych gmin i spółdzielni kółek rolniczych. Czy Bank „da” im na to fundusze?

— Wobec wszystkich jednostek gospodarczych stosujemy zasadę, że rozbudowa musi w perspektywie przynieść efekty ekonomiczne, ale też zmusić do lepszego wykorzystania istniejącego już zaplecza warsztatowego i magazynowego, aby rosnąca instytucja w dużej części finansowała swoje nowe wydatki.

— Część SKR-ów brakuje ciągników do terminowego przeprowadzenia oprysków. Nie mają też czym transportować

nie majątku trwałego? Bank im tego nie może nakazać, ponieważ byłaby to ingerencja w wewnętrzną gospodarkę samorządnej spółdzielni. Przykładem rozwiązania będą w tym przypadku, działające już w naszym województwie, prywatne bazy maszynowe. Dotychczasowe opinie o ich pracy są pozytywne.

dla bogatych

— Dlaczego indywidualni rolnicy nie mogą otrzymać kredytów na zakup maszyn?

— Rada Wojewódzka Banku Gospodarki Żywnościowej postanowiła przydzielać rolnikom indywidualnym w pierwszej kolejności kredyty na budowę budynków gospodarczych i mieszkalnych. Natomiast maszyny, zgodnie z zaleceniem ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, powinni nabywać za pieniądze zgromadzone w Bankach Spółdzielczych ze sprzedaży produk-

ował się w gminie, rolnik mógł otrzymać kredyt obrotowy na drobne potrzeby, natomiast po inwestycyjny musiał jechać do Banku Rolnego (do stolicy powiatu). Natomiast CZSOP powstał na bazie kas spółdzielczych, tzw. kas Stefczyka (bogatego chłopca z Poznańskiego), jeszcze przed II wojną światową.

— Co zmienia się w Waszej działalności podczas kryzysu?

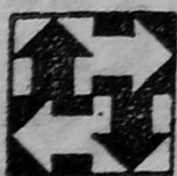
— Funkcjonowanie Banku zależy od sytuacji gospodarczej kraju. Szczególna rola przypada mu w okresie reformy gospodarczej, gdy wspiera działalność przedsiębiorstw przy pomocy pieniądza i kredytu. W okresie kryzysu działalność gospodarcza przedsiębiorstw zostaje zahamowana, a tym samym ich możliwości spłaty długu. Bank dokonuje mniejszych wypłat, pomimo rosnących apetytów jednostek gospodarczych.

— Czy widoczna jest w Waszym Oddziale reforma gospodarcza?

— Oczywiście. BGŻ się w pełni samofinansuje, a banki spółdzielcze posiadają wszelkie kompetencje kredytowe i samorządowe. Jednostka nadrzędna spełnia tylko rolę doradcy.

— Gorąco dziękuję za rozmowę.

zbliżenia



Pozwolenie to jedna rzecz, możliwość — całkiem inna. Praca była typowo terenowa, teren ogromny (trzy późniejsze powiaty: łomżyński, zambrowski i kolneński), a komunikacja praktycznie żadna: nogi własne lub konskie, później dwa kółka. Ale wyjazd rowerem o piątej rano, by na dziesiątą dotrzeć na sesję w Nadborach, nie był wcale zabawnym ani bezpiecznym; grasujące bandy wprost marmoty o spotkaniach z samotnie podróżującymi urzędnikami „komuny”.

W końcu września 1948 r. maturalną klasę męskiego gimnazjum w Łomży odwiedził starosta Gdula. „Potrzebujemy młodych, odważnych ludzi do pracy w administracji” — powiedział. Pierwszym odważnym był Edward Maciejewski. Zgłosiło się jeszcze dwóch ochotników. Starosta mówił przecież, że szkołę też będzie można skończyć.

Oprócz starosty i wicestarosty nikt nie miał broni.

Zeglickiemu na niewiele i to się zdało, szczególnie że jej przy sobie nie nosił. Maciejewski namawiał go przed wyjazdem na naradę soltyśów w Zawadach do ostrożności, ale Zeglicki ufał ludziom. „Czego mam się bać — powtarzał — nikogo nie skrzywdziłem, nie zabiłem. Na autorytet pistoletem się nie pracuje”. Kilka godzin później Maciejewski jechał do Zawad po ciało zamordowanego starosty i jego dwóch współpracowników.

— Śmierć nie raz zaglądała nam w oczy — wspomina Edward Maciejewski — ale to wówczas wydawało się niemal naturalne. Życie wielu ludzi przez prawie dziesięć powojennych lat było zagrożone. Lecz pracować trzeba było, a zadania wcale nie były łatwe choćby przeprowadzenie wyborów czy referendum. W czterdziestym szóstym byłem przewodniczącym komisji wyborczej w Lubotynie. Po zakończeniu głosowania ochrona z Urzędu Bezpieczeństwa wyszła odpocząć do sąsiedniej sali. Siedziałem sam. Nagle usłyszałem zdecydowane pukanie do drzwi. Zjawili się sześciu mężczyzn w mundurach z koalicjami. Nie odpowiadały im listy wyborcze, zażądali innych. Wydarłem kartki z notesu. Wypisali na nich: „Niech żyje Anders”, „Precz z komuną”, wrzucili do urny i wyszli. Dziękiowałem niebiosom, że nikt z UB nie zajął w tym czasie do sali, bo nie taki byłby finał tej wizyty. Znajoma nauczycielka, pani Majcherska, przewodnicząca komisji wyborczej w Małym Płocku, została tego dnia zamordowana: „leśni” poderżnęli jej gardło.

Teraz praca w administracji to kasza w mleku. Wtedy nawet papieru brakowało, a na cały urząd była jedna maszyna do pisania. Na szczęście nie brakowało zapasu do pracy, choć czasem szła ona na marne. Dym i popiół zostawał jedynie z rejestrów poborowych, spisów koni z kategorią wojskową.

Pierwszy angaż Edwarda Maciejewskiego: „provisorijny starszy rejestrator” w wydziale wojskowym starostwa. Zarabiał wówczas 200 złotych miesięcznie oraz kilogram słoniny i tyleż cukierków dla syna. Raz na kwartał dostawał dwunasto-kilogramowy przydział z UNRRA tzw. „Menu-5”: cukier, mąka, czekolada, kasza, marmolada, ser, orzeszki ziemne, carnele. Był to krzepiący zastrzyk dla domowego budżetu.

— A jednak przyjemnie wspominał tamte czasy. Strasznie lubił kontakt z ludźmi, miałem masę przyjaciół wśród rolników. Zdażyłem się już ożenić, więc zżegnałem się z żoną i wyjechałem w teren na kilka dni. Martwiłem się tylko o to, by dotrzeć do celu i wrócić cało. Nigdy nie przejmowałem się tym, co będę jadł, gdzie spał. Pierwszej Wigilii omal nie spędziłem bez żony i dziecka, w odciętych od świata Nadborach za Jedwabnem. Soltyś załatwił mi jednak trzy zmiany sań i dotarłem do domu z pierwszą gwiazdka.

Rolnicy byli serdeczni, gościnni, a i autorytet urzędu duży. Gdy wchodziłem na salę, ludzie wstawali z

miejsce. Było mi nieraz głupio, choć dobrze to świadczyło i o kulturze rolników, i o urzędzie, który reprezentowałem. Starosta i wójt, mieli kiedyś ogromny respekt. Wójt był z wyboru, nie „z teczek”, więc starał się jak najlepiej wywiązywać z obowiązków. Dziś naczelnicy przeważnie nie są miejscowi; zanim poznają teren, rezygnują z pracy lub popełniają błędy, które ich w oczach miejscowej ludności „przekreślają”. Naczelnik, powoływany jest przez wojewodę z formalną tylko aprobatą gminnej rady narodowej, a wojewoda w serce mu nie zajrzy, tylko do dokumentów.

Wójtowie byli ponadto ludźmi nieprzeciętnie ofiarnymi. Rzyzykowali życie; nawet ich pracownicy w dzień mogli siedzieć za biurkiem, a nocą — w lesie. Nie było mimo to zadań, których by wójtowie nie wykonali.

Inne też były wymagania i zainteresowania rolników. Nie gardłowali, że im się coś od państwa należy. Interesowała ich polityka. Dyskutowali godzinami, poznawali się i przekonywali nawzajem. Nie brakowało opornych i nieprzejednanych.

Zdarzali się też drobni cwaniacy. Pewien mieszkaniec Szostak doniósł, że posiada cenną flagę z czasów Rewolucji Październikowej i jest gotów odstąpić ją władzy ludowej w zamian za zwolnienie z dostaw zboża i żywca. Popędzał pan Edward w jedwabnejskie strony. Rolnik wyciągnął z głębokiego kufra brudną szmatę, która wydawała się być raczej wiekową poszwą niż rewolucyjnym sztandarem. Dla pewności strzępy „przebadali” jeszcze specjaliści. Podstęp rolnikowi się nie udał.

Ale i panu Edwardowi nie brakowało konceptu. W gminie Puchały rolnicy „bardzo niemrawo” podpisali Sztokholmski Apel Pokoju. Zwierzył się pan Maciejewski księdzu proboszczowi, że jakiś dziwnie bojowy duch panuje wśród parafian. Jak nie zagrzebał ksiądz z ambony: „Tylu nas, Polaków, zginęło w tej wojnie, a wy jeszcze nie macie dość przelewu krwi?” I sam zamasyście podpisał listę Dodatkowej agitacji nie było trzeba; puchalska gmina wypadła bodaj najlepiej w tej akcji.

I tak rok za rokiem zmieniały się zadania, nastroje, sytuacje. Domowe

DANUTA WRONISZEWSKA

wojewoda w serce nie zajrzy

problemy również. Państwo Maciejewscy mieli już czwórkę dzieci. Drobnych i poważnych kłopotów (choć także i radości) nie brakowało. Za skromne urzędnicze pensje trzeba było nie tylko wiązać koniec z końcem, lecz kształcić dzieci. Pan Edward nie wyobrażał sobie inaczej, skoro jego ojciec — przedwojenny robotnik z elektrowni — potrafił łożyć na kształcenie synów.

Kiedy najmłodsza córka zdała maturę i rozpoczęła studia historyczne, pomyślał o sobie; na dobrą sprawę nie miał jeszcze matury. Ukończył wprawdzie w 1948 r. dwuletnie Wyższe Studium Administracji, ale formalnie nie ono nie znaczyło (istniało nie przy uczelni, lecz przy ministerstwie). Rozpoczął w roku 1937 naukę w łomżyńskim gimnazjum ukończył w 1973 — licealną maturą. Zdał też egzamin wstępny na Wydział Prawa i Administracji

Białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego.

— Uzupełnianie wykształcenia na parę lat przed emeryturą może się komuś wydawać dziwne. Faktycznie urzędnik musi całe życie nad sobą pracować. W moim przypadku formalny dyplom był zamknięciem pewnego konta, a jednocześnie stworzył mi w 1975 r. możliwość awansu do Urzędu Wojewódzkiego. Tam znowu otrzymałem ciekawe zajęcie: prowadziłem Biuro Skarg, Wniosków i Interwencji. Była to jednak praca odpowiedzialna i dość niewdzięczna. Biuro jest wizytówką Urzędu. Trafiają tu ludzie z najróżniejszymi bólami. Ostatnio interwencje upodobiły się: 90 proc. petentów stanowią rolnicy, którzy skarżą się na niewłaściwy rozdział maszyn, materiałów budowlanych, gruntów z PFZ, sznurka. Niemal każdy żąda rozmowy z samym wojewodą. „Nawet papież na audjencji sam wszystkich przyjmuje, a wojewoda nie może?”

Trudnym okresem był czas „Solidarności”. Nie chodziło nawet o to, czego żądano, lecz — w jakim stylu. Ja zawsze miałem w pamięci słowa wojewody Ziembarskiego: „Nie możemy nigdy zapominać o naszej służebnej roli wobec społeczeństwa. Każdy petent powinien być tak przyjęty, żeby wychodził zadowolony nawet wówczas, gdy sprawa nie mogła być załatwiona po jego myśli”. Ale jak utrzymać rozmowę w dobrym tonie, gdy petent oświadcza, że czapki z głowy nie zdejmie, bo nie zwykł „kogutowi czapkować”. Jak ten naigrawający się z godła ludowego państwa chłop śmie wyciągać do urzędu rękę o pomoc?

Niemal złego sprawiła dawniejsza polityka zatrudnienia w administracji. Sporo w niej (szczególnie na szczeblu gminnym) niedouczonej, a zadufanych w sobie urzędników. Zrodziło to brak zaufania do pracowników urzędów państwowych.

Edward Maciejewski nie żałuje lat strawionych na służbie w administracji: — Nie było tu rzeczy nudnych, powtarzających się. Każda akcja była inna. Każdy człowiek przychodził z nową sprawą, zmuszał do ciągłego myślenia, działania, grzebania w przepisach. Każdy szef był inny, a miałem ich trzynastu. Trzech z nich cenilem najbardziej: Zenona Świtaja, Romualda Łazarowicza i Jerzego Ziembarskiego.

Najważniejsze, według mnie, jest poszanowanie pracy; wpoił mi tę zasadę ojciec, który został wyróżniony za 40 lat nienagannej i sumiennej pracy. To samo ja kładłem do głowy moim dzieciom. Wymagałem od nich obowiązkowości i sumienności we wszystkich czynnościach. Oczywiście, musiałem potwierdzać słowa własnym postępowaniem. Widocznie jednak nie wyglądałem na urzędnika-cierpietnika, skoro jedna z córek też zdecydowała się na pracę w administracji.

FOT. WOJCIECH SURAWSKI





droga do roju

ALICJA CHWAŁCZYK

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

mają siedem tysięcy, ale jeszcze niedawno musiało im starczyć dwa sześćset. Stachorzecka, lat 65, nie odstępowała męża na krok. Co rusz wyciera z okruszków i kropli herbaty stare krzesło przerobione na stolik, podsuwa leki, podstawia nocnik, a gdy nie zdąży dobiec, wynosi zafajdane szmaty. Jan robi pod siebie jak niemowlak, tyle że jego odchody cuchną niemłosiernie. Smród przeżarł w tym domu wszystko: ściany, firanki, sprzęty. Nowych sienników i kalesonów nie ma z czego szyć, kartek na płótno dla nieuleczalnie chorych nie przewidziano.

Jan, lat 71, nie przestaje płakać. — Mamu! Mamusiu, droga! — skamle, wodząc za żoną wystraszonymi oczami. — Czy ja z tego wyjdę? Święta z Wólki Zwierzynieckiej, gładząc go po nieruchomej ręce, mruczy pojębkiem: — A juści, jak Bóg da... — A głośno z wielką cierpliwością: — Wyjdiesz, Jasiu, wyjdiesz. Wyniosę cię na podwórko, zaświecę słoneczko i wszystko ci wyciągnie.

Stachorzecka, i owszem, mogłaby dostać siostrę PCK czy inną pielęgniarke, tylko co tu po białym fartuchu? Mogłaby się też starać o wózek inwalidzki, tylko czy się znajdzie taki na traktorowych kołach? Bo jaki inny pojedzie po piaszczystym gościńcu, po roztlądanym podwórku? Nic tu po obcej wyrecie, także samo nic po Rózi. Dla drugiego „użytecznego” miejsca się nie znajdzie.

Jeżeli Rózi ze wsi nie zabiorą, to dla niej tylko jedna droga: do Wieprza. Co dzień rano mówi do mamusi: „Mamo, miałas nas dziewczęloro, zabrałaś ośmioro, a gdzie ostatnie? Nie chcesz, żebym była z tobą?”

Mamusia się nie odzywa, milczą trzy siostrzyczki i pięciu braciszczków. Po najstarszym, Józiu, zostały szafy, krzeselka, kuferek i łóżko — wytoczone, wyrzeźbione, bo ze stolarki słynął w okolicy. Święte obrazy, zamykane na skrzydełka, kupione jeszcze za mamy (a ona nie żyje już pięćdziesiąt lat), Rózia podarowała księdzu z Brzostówki. Zajechał polonezem i krzyknął: — Jezus Maria, a jak się tu Rózia myje!?

Rózia się zlekła, bo dawniej, gdy ksiądz chodził po koledzie, to ręce składał z podziwu i w podłodze, jak w lustrze, oglądał odbicie swojej komezki. Rózia chciała dać księdzu sto złotych za drogę, ale on, nie ukrywając, że z tego segmentu najmniej na kościół składają, nie wziął od Rózi grosza.

— Rózia jest największa w Wólce sierota — powiedział — drugiej takiej nie ma. Niech Rózia do mamusi na plebanię przyjdzie, herbatki się napije.

Z ambony zaś ogłosił: — Parafianki brzostowianki, nie mówcie na nią „Różga”, bo ona się Rózia nazywa.

— Ponadto dał z darów pończochy, pantofelki, trochę ryżu i cztery konserwy. Dobrodziej z niego wielki.

W Wólce Zawieprzyckiej jest 109 domów, a w nich tyle rodzin! Sterników, że co drugi chłop nosi to nazwisko. Rózia też przy nim została, choć kiedyś była „żeniata”. Szalast miał fisia, ale krzepy mu nie brakowało. Jak go coś napadło, w sąsiedzkie okna kamieniami walił. Rózia związała się z nim przed Panem Bogiem w ostrowickim kościele, gdzie później nadaremnie składała ręce o dziecko. Doktor powiedział: — Z nim nie będziesz miała, zrób sobie na lewo.

Rózia na to: — Jak nie ma na prawo, to i na lewo nie chce.

Tak zostało. Do nijakiego urzędu po ślub cywilny nie poszła, toteż kiedy Szalast oczy zamknął, choć prawowita żona, nie miała nic do tego, co po nim zostało. Chałupa pamiętająca pierwszą wojnę, nie reperowana, nie kurowana, powoli dochodziła Rózia razem z nią. Jeszcze za życia Szalasta straciła lewe oko. Było tak: sprzedawszy dwa świniaki pieniądze schowała „w mieszkku między cyckami”. Bandyta dopadł ją w lesie, skąd wracała z chrustem. Nawet grosza nie zostawił na doktora. Niedawno znowu Rózia miała kłopot — z kołtunem. Najpierw był mały jak spodek, a potem jak blaszana miska. Nikt Rózi z nim do miasta nie wysłał, bo doktóry w kołtuny nie wierzą. Nikt też nie chciał tego dotknąć. Baby dały Rózi nożyczki; ostrzygła to, jak mogła, włożyła za pazuchę, siedem dni nosiła i puściła z ogniem. Jeszcze wtedy paliła pod okninem. Przed godniami świętami dach się na jej chałupie zawalił, szyby w oknach potłukły. Baby mówiły: — Ją i tak przyduś...

A ona przetrzymała, Bozia specjalnie dla niej lekką zimę zesłała. Okna zatkała słomą i workami z ślanem, na to przyłożyła stare łachy. Łóżko przyciągnęła w ten róg, gdzie stało mniej wody. Na noc szczególnie zapinała waciak, głowę opatulala czapką, na siebie naciągała łachy i wychylała kartkowy kieliszek, od razu ciepłym idący w całego człowieka. Na zimniejsze noce wybierała obory, ale tylko muryrowane.

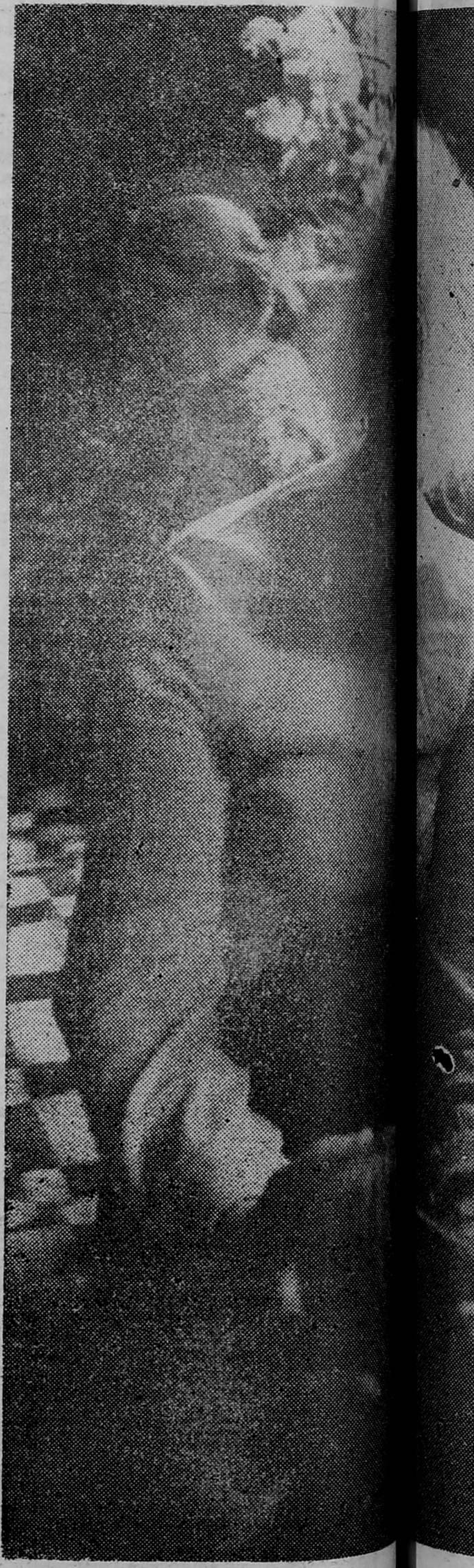
Gotowane Rózia je, jeśli jej kto da. Wszystko łyka, bo żadnego zęba nie ma, a do doktorów z żołądkiem nie lata. Prawdziwy to cud od Pana Boga, który w dni oczekiwania tak ją właśnie oszczędza. Bo Rózia żyje tylko czekaniem. Już nawet swoją chałupę na opał sprze-

dała. Ona wyjdzie za opłotki, spychacz wejdzie na podwórko.

Do domu starców Rózia była namawiana już parę lat temu. Wtedy stawała dęba. Grina w Ostrowie wszystkie papiery przesała do województwa z zaznaczeniem „pilne”. Rózia jednak z Wólki nie spieszyło. Nie chciała być na rady Bolesława Mazurka, sołtysa nie słuchała Marianna Ejsmentowicza, sekretarza gminy, ani pani inspektor — Aliny Marciniak. Po prostu wiedziała swoje. Tu przyszła na świat i tu zamknie oczy. Rentę za ziemię ma kwatere muirowana też: kościelny, co robi za kamieniarza, już jej wyrzuchiwał.

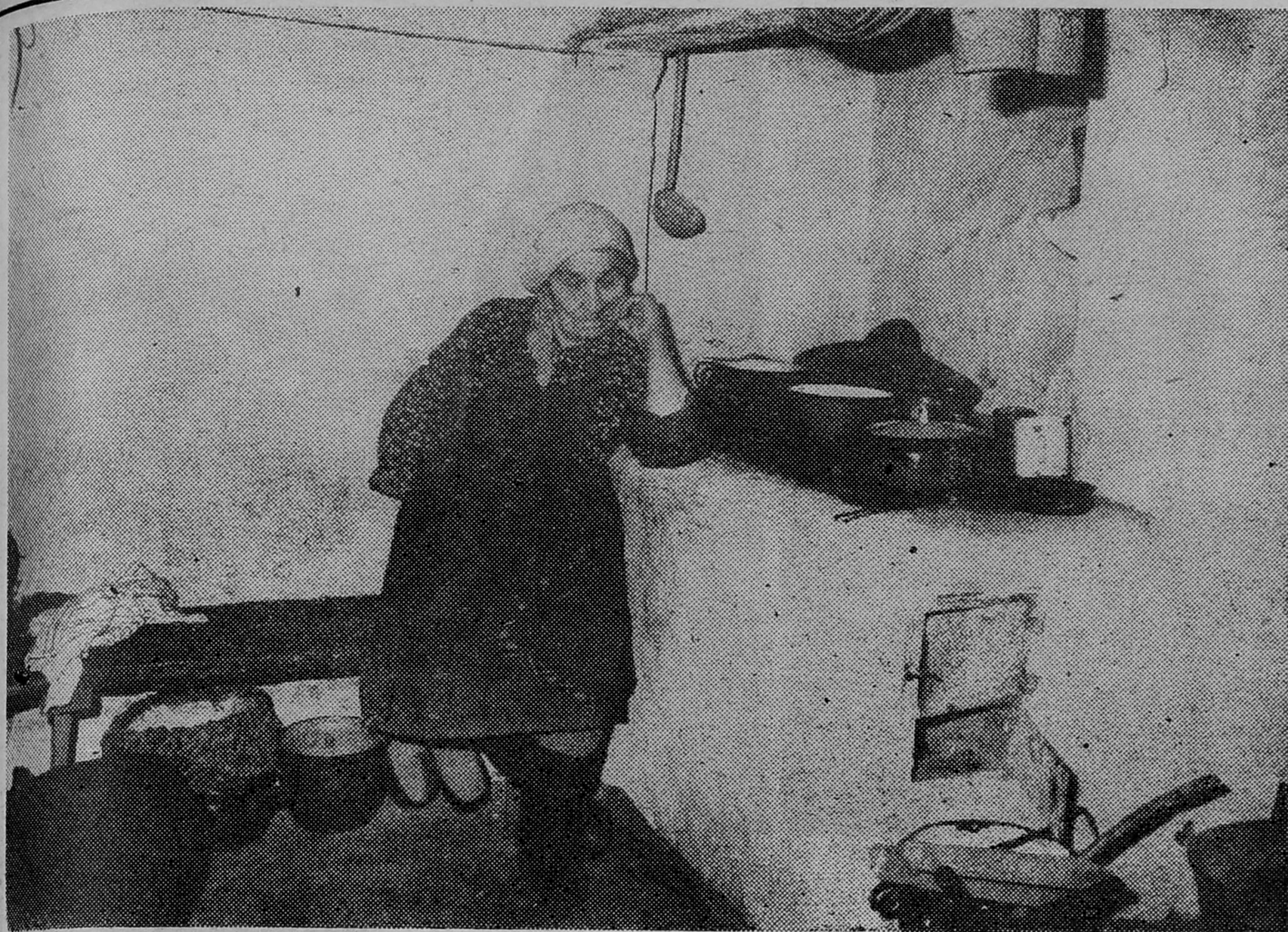
Wólka Zawieprzycka cała taka uparta. Ziemi za rentę starzy oddawać nie chcą, odlogiem trzymają lub dzierżawią truskawkarzom i rozmaitym innym budylnym. Na Zaduszkę handlują wiankami, wwabiają miotły, nie też dziwnego, że dochodowość w Wólce z jednego obejścia równa się średnio 120 tysięcy a w takiej Nowej Woli — na przykład — 270 tysięcy. Wólka ma największe zaległości w podatkach i składkach emerytalnych, ale z pomocy społecznej ciągnie, ile może.

Sołtys Mazurek, choć inwalida wojenny, zatrudnił się jako listonosz. Z potrzeby serca jest opiekunem społecznym. Słysz, jak radni domagają się zmniejszenia funduszu na pomoc, który w tym roku wynosi dla gminy 2,3 miliona złotych, a za nim wołają: „Znowu te twoje dziady!” Na to on odpowiada: „A co, ja ich narobiłem?” Dawałby tylko samym mizerotom, dzieci przymuszając do utrzymywania starych. Rózia należy do tych, którym by sołtys dawał, bo



obyczaje





ona sama jak słupek na rozstajach. Na domy opieki społecznej czeka w województwie lubelskim pół tysiąca ludzi. Ma się rozumieć są to tylko ci, co złożyli formalne podania. Na dom przy ulicy Głowackiej

go czeka osób czterdzieści, w tym dwadzieścia siedem pań, z tego trzy przyjąć by należało od ręki: panią Janinę, lat 87, ze wsi Zastów Polanowski — nie chodzącą, żyjącą tylko z zasiłków, którą siostra obumarła jesienią zeszłego roku, panią Antosię z Kamionki, lat 86, no i Różię.

Różia może być pierwsza. Szkolpuł w tym, że z Głowackiego odchodzi się tylko w naturalny sposób.

Jeśli jednak człowiek przyjeżdża tu z bardzo ciężkich warunków, a wszyscy są tylko z takich, i nagle znajduje się w cieple, w miękkim łóżeczku, pod okiem pielęgniarki, dentysty, psychologa i fizjoterapeuty, który do gimnastyki namówi i masażu odpowiednio zapisze, jeśli człowiek jest czysty i najedzony, to życie zaczyna od nowa. A kto chce, żeby nowe życie było krótkie? Toteż nieco ruchu wnoszą tu tylko wiosna. Komuś pęka serce nie wytrzymując marcowych skoków hektopaskali, ktoś inny gaśnie jak zużyta żarówka, jeszcze inny pada z tęsknoty, która tu, w dobrym, ale obcym miejscu, trawi go za własnym, osobistym, rodzinnym, choćby nie wiem o ile gorszym.

Do niedawna na przystawce mieszkała pani Hela. Ma swoje 80 lat i swoją lalkę, do której szepcze jak do człowieka. Córka pani Heli już dwa razy odmawiała wyjazdu do sanatorium. Wreszcie pojechała, bo w domu starców znalazło się miejsce dla mamy, która już teraz dostała łóżko na stałe.

Pani Maria ze Stryjny urodziła dzieci czworo: dwóch synów i dwie córki. Rozsypały się po świecie: Wrocław, Otwock, Katowice. Bez niej. A to synowa nie chciała, a to zięć grymasił. Trochę służyła u obcych. Zachorowała nerwowo, twarz jej wykrzywiło, ze szpitala przyszła tutaj. Spokojna, schludnie ubrana, czarną tkaniną na suknię wystąpiła w kolejce w pedecie.

Po korytarzu snuje się trzydziestoletni Jasio. Ma w głowie tyle, co przedszkolak. Z dziećmi obiegającymi nieodległą piaskownicę bawi się jak z rówieśnikami. Lodem czestuje psa; raz liże on, raz Burek. Niedawno sprytnie, po cichutku, Jasio dobrał się do kontaktów. Potłukił je i połamał. Zepsuł kolorowy telewizor. Ukaral współmieszkańców za to, że nie oszczędzają światła.

W domu przy Głowackiego mieszka 250 pensjonariuszy pici obojga, w tym czwarta część ze wsi. Miesięczne utrzymanie kosztuje tu średnio 13 tysięcy złotych. Największa odpłatność równa się 3 tysiące. Wiele osób płaci znacznie mniej, niektóre nie płacą w ogóle. Pani Anna ze wsi Parypsa pod Chełmem ma trzy córki. Jedna dobrowolnie płaci za mamę sto złotych miesięcznie, dwie pozostałe, które wzięły ziemię, odwzide-

czają się manusi za pośrednictwem komornika; razem niecały tysiąc złotych — z trudem wyprawowany. Nigdy jej nie odwiedziły. Pani Anna wypłakuje oczy na przystanku MPK; ciągle ma nadzieję, że na drugą niedzielę córunie przyjadą na pewno. Przechodnie już przywykły do staruszki, ubranej z wiejską w chustkę i zapaskę, dopytującej się: „Który to dzień dzisiaj?”

Dom jest pełen kalek i niewidomych, inwalidzkich wózków i łóżek z wyciągami, wytrzeszczonych oczu i śmiechu rozlegającego się nie w porę. Leżą tu sparaliżowani, podłączeni do aparatów, złamani w pół, z głowami dotykającymi nóg. Leżą dawne piękności, z urodą zatrzymaną na pożółkłych fotografiach, leżą okaleczeni, którzy już nawet w Nardellego nie wierzą.

Dyrektor Irena Niwińska (prawniczka i dyplomowana pielęgniarka) wraz z personelem (121 osób, w tym 12 lekarzy i tylko 14 osób administracji) i zakonnicami robi, co może, aby do domu nie wpuścić jeszcze jednej biedy, której na imię kryzys lat osiemdziesiątych. Rezultaty są takie: tylko jedzenia tu nie brakuje. Nie ustają drobne naprawy i konserwacje starzejących się sprzętów, przewodów, instalacji. Kłopot jest z butami i skarpetami. Kończy się bielizna. Nie ma w co ubierać chorych, coraz większe łaty noszą praczkę i kucharkę. W „Mewie”, „Traweniu”, „Suponie” rozkładają ręce, więcej produkować nie mogą.

Dom społecznej pomocy ma być namiastką prawdziwego domu. Jaka może być ta prawdziwość, skoro na jedno miejsce przypada nawet nie sześć — jak mówi norma — a 4,3 metra powierzchni? — Ale czy można zważać na ciasnotę — pyta mgr Niwińska — gdy człowiek umiera gdzieś na barłogu? Toteż przynosi się tu sprzęty najpotrzebniejsze: radio, barwną kapę, podstawkę pod żelazko, „którą się wnosila bawila”. Tylko na ścianach nie ma ograniczeń, co widać po świętych obrazach.

W marcu nad Lubelszczyzną przevaliła się wichura. Wyręczyła traktor, który miał rozwalić Różiną chałupę. Z powodu tej samej wichury, być może, łóżko w domu zwołniała pani Mela.

Różia przyjechała do Lublina z pękniętym litrem, owiniętym w podwójną gazetę. Skąd mogła wiedzieć, że tu się nie śpi w waciaku i że tu wódka niepotrzebna?

Wykapana, wypucowana, z siwymi włoskami przyciętymi w grzywkę, siedzi sobie teraz na białej pościeli w łóżku sukienki i powtarza z radością w swoim jednym oku: — W raju jestem, w raju, za życia jestem w raju...

Fot. GABOR LÖRINCZY

Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych Urzędu Miejskiego w Łomży zawiaduje przed swe oblicze obywatela, któremu stuknęła już czterdziestka, „w celu dokonania obowiązkowej rejestracji przedpoborowych”. Obawiając się, iż decyzja ta ociążać może nasze redakcyjne sumienie — wszak drukowaliśmy niedawno artykuł prof. Kozakiewicza o aktywności młodych — wyjaśniamy raz jeszcze: młodzi w tym wieku lubią „petting” nie „per-shing”.

Znowu zbliża się zima, znowu po nowych osiedlach, zwłaszcza w Łomży, snuć się poczynają ogromne, wygłodzone stada — wypędzonych przez właścicieli — psów. Zachowują się spokojnie, nie słyszeliśmy by kogoś pogryzły. Na szczęście sądzę nas jeszcze według swojej miary.

Przechodzący koto baraku-paradni przy ul. Wojska Polskiego w Łomży mogli poobserwować taki oto obrazek: do oczekującej karetki zbliżył się mężczyzna i wsiadł do niej spokojnie ze strony wskazanej przez kierowcę; po nim wsiadli jeszcze dwaj panowie. Mężczyzna był w kusym kaftaniku, poza tym bosy i zupełnie nagi; panowie na ubiory narzucone mieli fartuchy. Niestety nie możemy podać, kto z tej trójki był chory. Szanownych Czytelników uprasza się w związku z tym, by nie głowili się nad zdarzeniem na własną rękę: mózg nie wytrzyma i znowu będzie d... zimna.

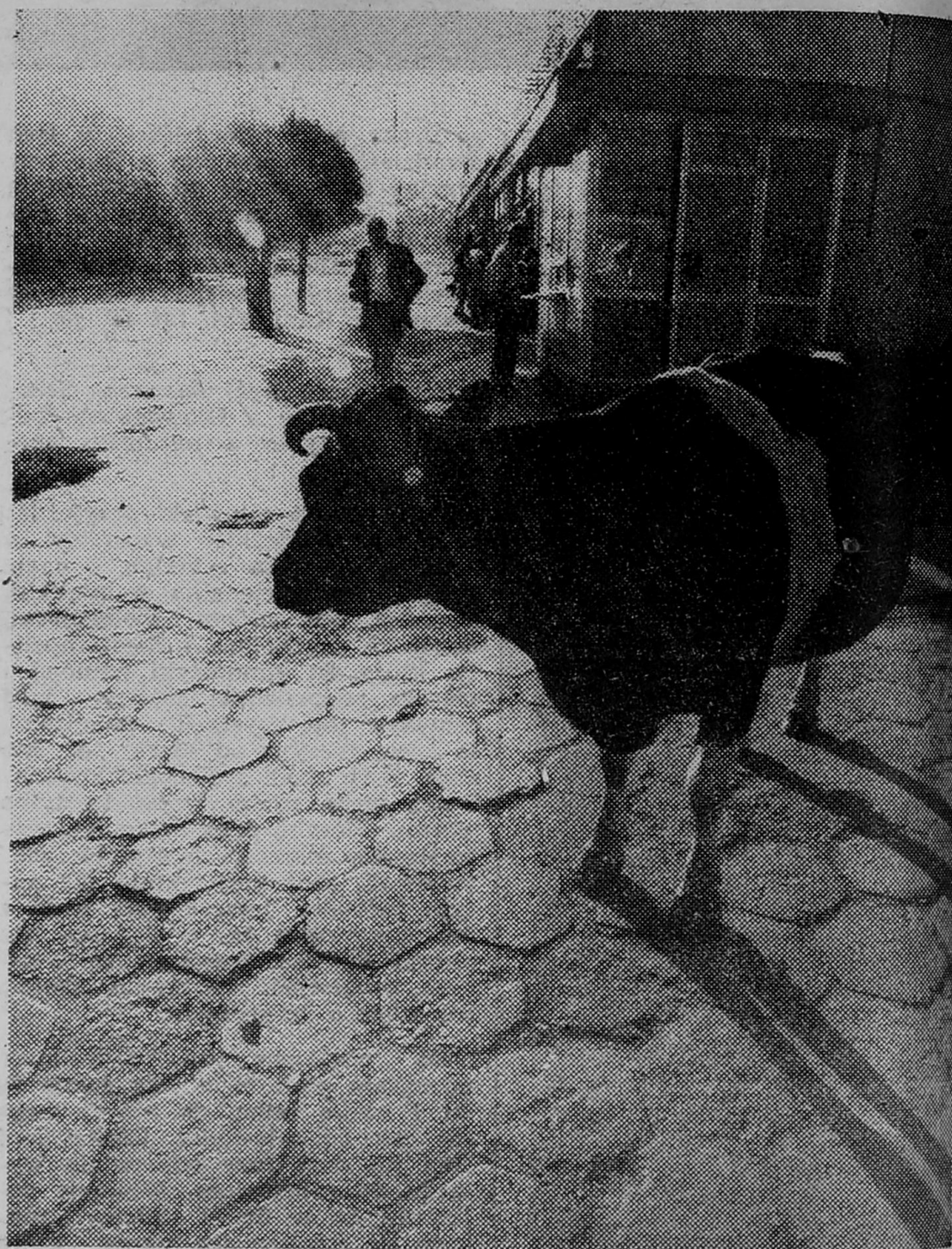
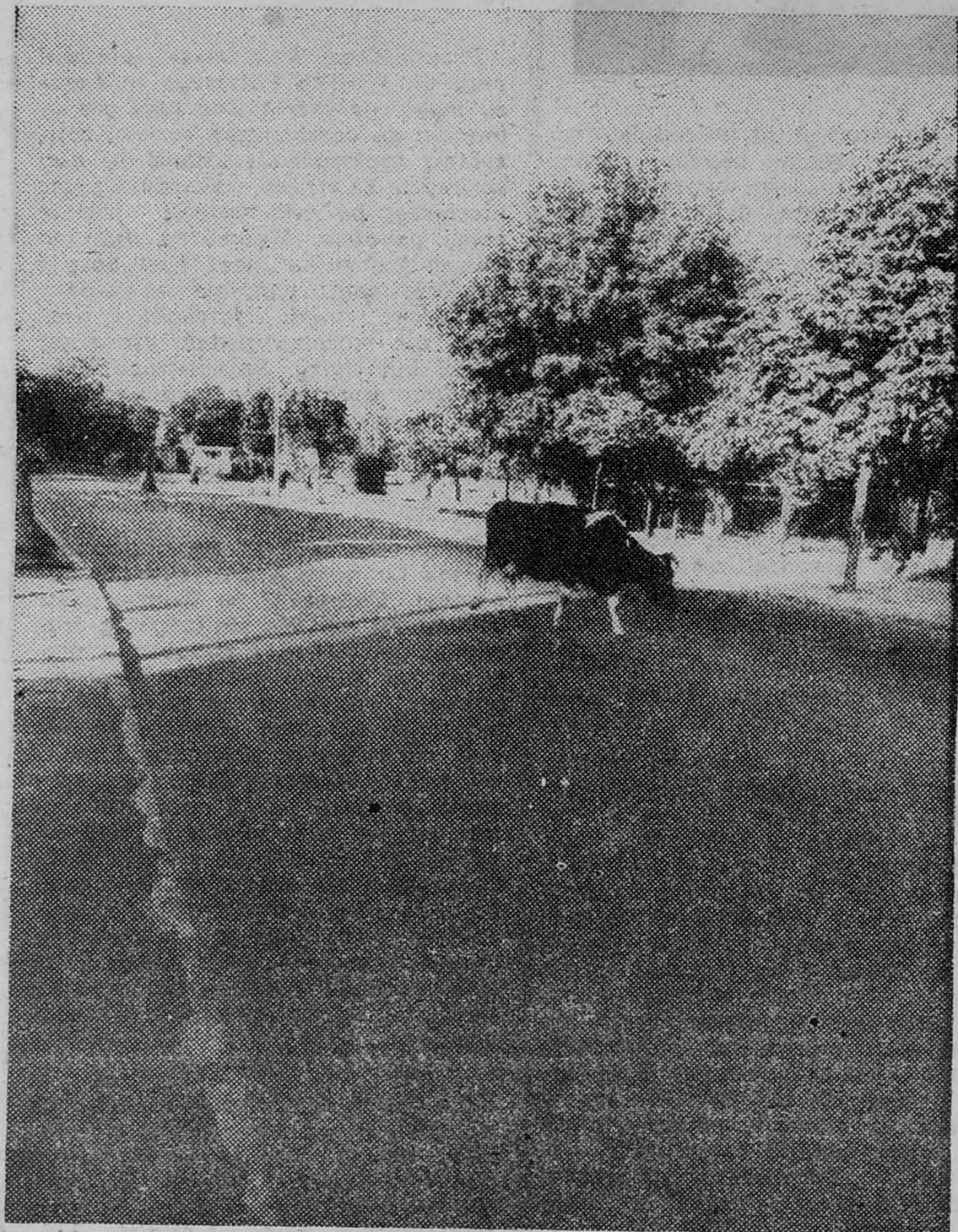
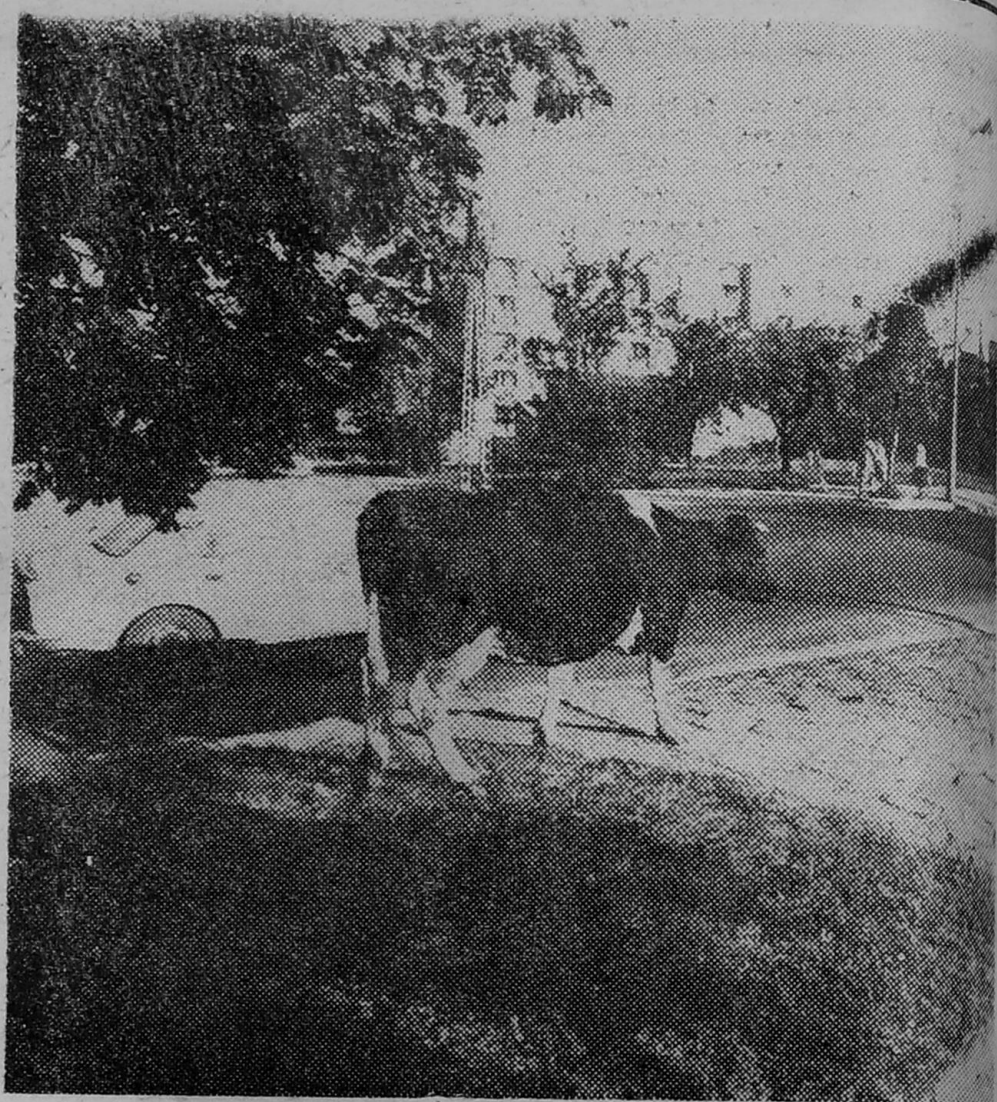
Znudzony, widać, wypoczynkiem Zarząd Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Nowogrodzie postanowił wyżyć się lodówek, kucharek gazowych i podobnego wyposażenia swych domków kempingowych. Postanowienie szybko zao-wocowało licytacją. Jakkolwiek odbyła się ona tzw. cichaczem i trudno dociec w szczegółach, kto, co i za ile Chapman — za co nieco wyniuchał się nam udało: w pięć lodówek à 1500 złotych sztuka zdołał zaopatrzyć się przypadkowy gość, bawiący akurat w delegacji; polityczna, inwentaryzacja wykazała „brak” w postaci całego domku. Tak to niechęć do wypoczynku może się skończyć odpoczynkiem. Zastużonym.

Co należy zrobić, gdy znajdzie się na ulicy trzy ważne bilety autobusowe relacji Łomża — Warszawa (sto sześćdziesiąt złotych sztuka)? Należy zgłosić ten fakt np. do kasy biletowej; a nuż właściciel przybiegnie po nowe i odzyska zgubę. Tak właśnie, w swej uczciwej naiwności, postąpiła nasza Czytelniczka, toteż niepomniennie zdziwiła się, że pani bileterka z kasy przedprzedaży PKS-u w Łomży zażądała od niej, bez wyjaśnienia, podania pełnych personaliów, a potem — łowodu osobistego. Zdziwienie wzrosło, gdy pani bileterka opuściła kasę, zamknęła od zewnątrz drzwi poczekalni i za chwilę ukazała się zdumionym ludziom z okrzykiem: „To ta!” — w towarzystwie trzech milicjantów. Okazało się, niestety, po niepotrzebnym publicznym po-traktowaniu znalazczyni jak złodziejki, iż właściciel biletów został z nich i ze znacznej sumki okradziony. Prawdziwy złodziej zadowolili się gotówką, bilety wyrzucił... Uczelnego znalazcę prosimy o zwrot zgubionej puenty.

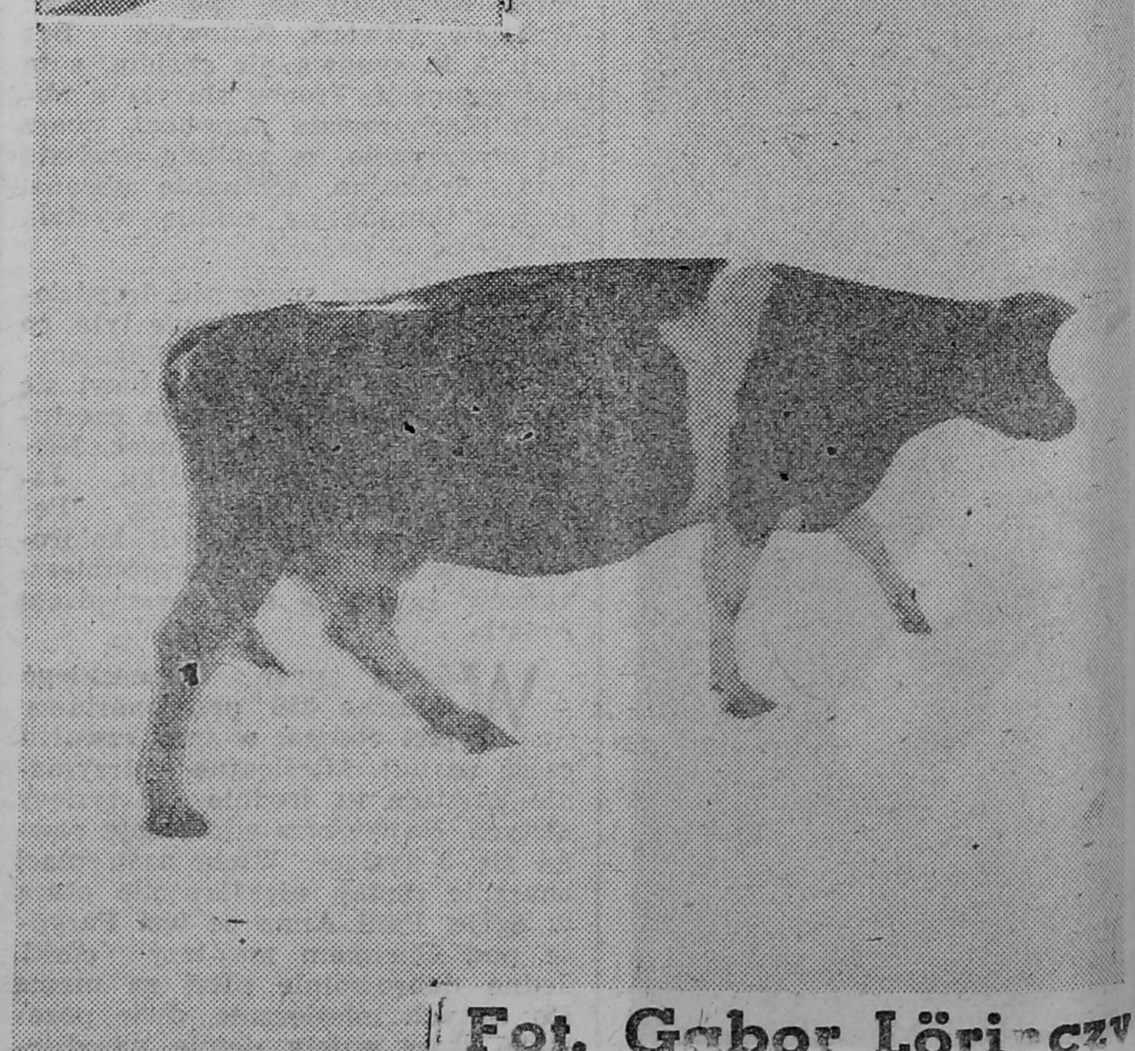
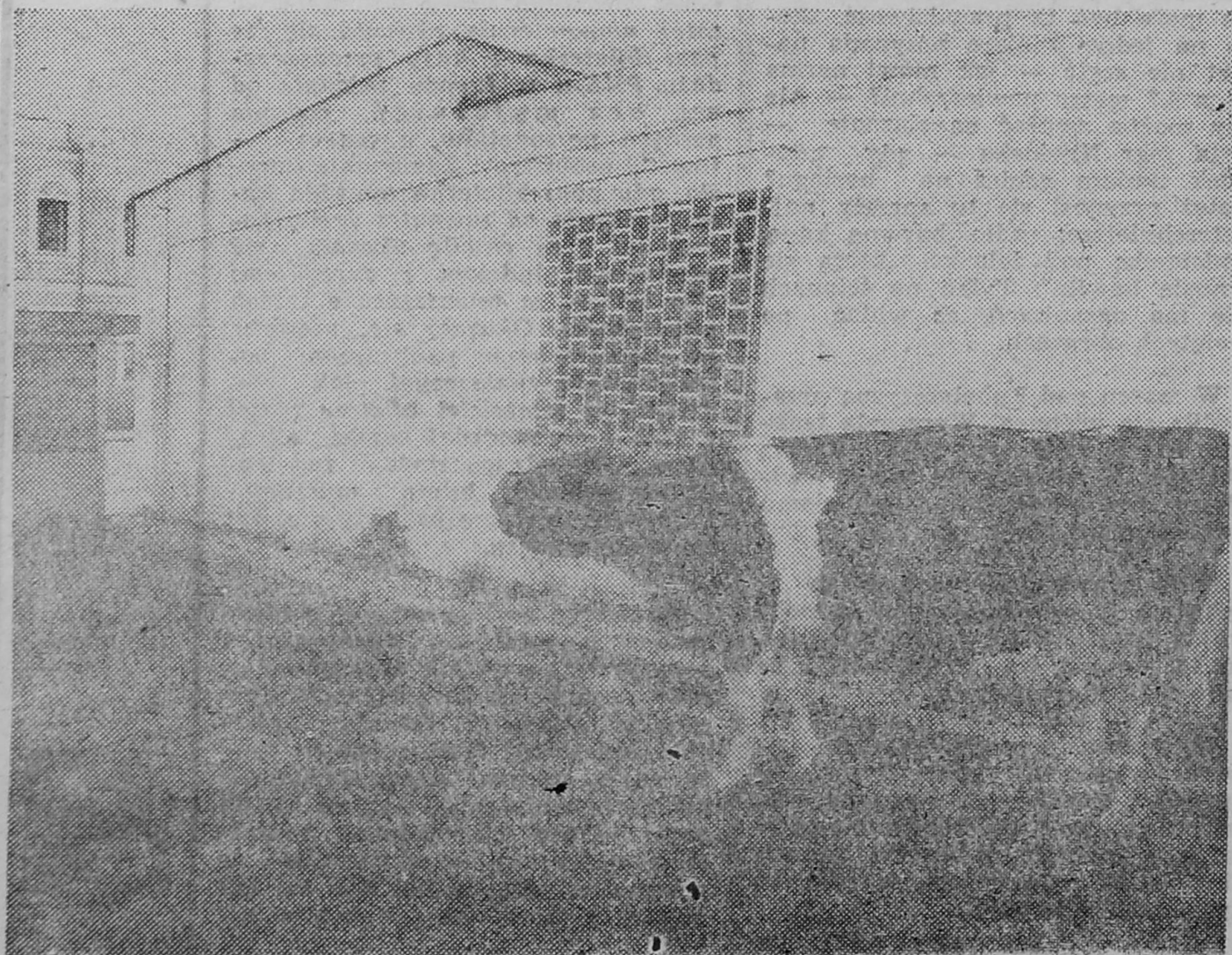
Stanowczo postulujemy — z zapasowym postulatami ewentualnego domagania się — jak najszybsze usunięcie z półek księżki ob. Szekspira pt. „Hamlet”. Postulat, również zapasowy, motywujemy tym, że nasza stadna odpowiedzialność nie może nadal pozwalać na to, by autor — bez jakiegokolwiek konsultacji społecznej — odpowiadał w naszym wspólnym imieniu na tak ważne pytanie, jak: „Być albo nie być”



REKONESANS



Łomża



Fot. Gabor Löri czv

Każ
w
z
dwie cz
kami" i
to bowie
ekapozyc
ganizow
Związku
grafików

Aż na
my niek
Emigrac
Czartory
genera
mieć je

mina na
haterstw
go. Moci
nie Styc

A ilu
my port
lonii", A
runki m
zadurzo
czewskie
doty - wi
Są mist
mizmu: p
Siemirac
ofiarowa
wackiego
rona" —
i Julian
malował

Por

—
nowe
jakie
Słysz
—
śmiec
—
służb
—
plecz
choq
Ks.

—
labiz
karm
Us
mlecz
Ks.
ty ch
—
kości
prosi
Tyme
zał n
Or
dzia
nie p

—
ordy
Ale...
—
pojec

—
tam
ków,
włi
powi
rząd

—
Ks
gólny
sobą
z op
szala
zniki

Każdy łomżyński choć raz powinien obejrzeć tę wystawę, z braku miejsca — rozbitą na dwie części (Galeria „Pod Arkadami” i Klub „Stałe Zajęcie”). Jest to bowiem jedyna w swoim rodzaju ekspozycja portretu polskiego, zorganizowana dzięki uprzejmości Związku Polskich Artystów Fotografików.

Aż na dwóch fotogramach widzimy niekoronowanego króla Wielkiej Emigracji Polskiej, księcia Adama Czartoryskiego. Portret pośmiertny generałowej Sowińskiej, przez pamięć jej męża, Ludwika, przypo-



mina napoleońskie legiony oraz bohaterstwo Powstania Listopadowego. Mocno też uwypuklono Powstanie Styczniowe.

A tu tam malarzy! Jest fantazyjny portret autora „Lituanii” i „Polonii”, Artura Grottgera, oraz wizjerunki młodego i dojrzałego Matejki, zadurzonego symboliką Jacka Malczewskiego i przejętego życiem biedoty wiejskiej Aleksandra Kotsisa. Są mistrzowie polskiego impresjonizmu: pejzażyści „Wyczół”. Henryk Siemiradzki (przepiękna kurtyne ofiarował Teatrowi Juliusza Słowackiego w Krakowie, a „Uczcie Nerona” — Sienkiewiczowi i światu) i Julian Fałat, który polskie pola malował, a przez żonę, kapryśną i

zapatrzoną w siebie „laikę”, musiał zrezygnować z bardzo wielu przyjaciół.

Fotografia Maurycego Gottlieba przejmując wspomnieniem „cierpiących Chrystusów” i całych zastępów wiecznie prześladowanych Żydów. Wzrok odpoczywa przy Stanisławie Witkiewicz, który „styl zakopiański” podarował Polsce; jego syn, „Witkacy”, wyprzedził scenę, a malarstwem zdiwiał świat, podobnie jak grozą tragicznego żywota.

W grupie krakowskich twórców (rok 1865) znajdujemy — młodego jeszcze — Franciszka, ojca Stanisława Wyspiańskiego, Adama Asnyka i — jeszcze nie zrażonego obojętnością czytelników — komediopisarza Michała Bałuckiego; jest i pobudzający do śmiechu hrabicz

checczyni, a Karol Estreicher dorobił jej bibliografię.

Aż roi się od publicystów i pisarzy ludowych, dziennikarzy i reporterów: członków redakcji „Kurier Wileńskiego”, krakowskiego „Czasu” i warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego”. Z wydawców znalazł się tu tylko Gustaw Wojciech Gebethner i coś tam z Michała Arcta, podobnie jak spośród medyków — zaledwie chirurg Rutkowski i Henryk Jordan, rzadki przyjaciel dzieci i młodzieży.

Widzimy też fabrykantów: Piotra Lebiezińskiego, założyciela pierwszej w kraju fabryki materiałów światłoczułych (1888) oraz pracownię odlewniczą braci Łopieńskich (1880). Dalej resztki wymierającej dziś arystokracji rodowej, a więc ostatki

kilku do kilkunastu minut. Była to tzw. technika pozytywowa; pozytywy otrzymywało się od razu.

Technika negatywowo-pozytywowa wprowadziła płytę szklaną dla wywoływania negatywu. Przez kopiowanie z negatywu na papier fotograficzny otrzymywało się obraz pozytywowo. Po licznych modyfikacjach technika ta dawała obraz ściśle realistyczny, przy czym korzystała z następujących środków wyrazu: tonowania, czyli zabarwiania fotogramu (najczęściej sepią), „niskiego klucza” (sformułowanie współczesne), który polegał na skąpym oświe-



tleniu modelu oraz na uwypukleniu tylko pewnych fragmentów obrazu (np. Witkacego „Autoportret z lampą”, 1915), rastra, czyli siatki (gazy, pończochy, zbrojnej szyby szklanej) i fotomontażu (np. fotogram Jana Buihaka „Ferdynand Ruszczyk” — 1911).

Całość wystawy składa się z 60 fotogramów oryginalnych i 132 reprodukcji. Komuśkolwiek zależy na pełniejszym poznaniu rozwoju kultury narodowej powinien dokładnie przestudiować obie ekspozycje. Są one bowiem wzruszająca i bardzo pouczająca dokumentacja drugiej połowy XIX i początków XX w.

JÓZEF NARWIAŃSKI

PORTRET POLSKI 1840 - 1939

Aleksander Fredro z tragicznym życiorysem hipochondryka.

Pisarze całymi grupami zawalili ściany. Pamiętnikarz Odyńiec z Mickiewiczem pod rękę chodził i wiersze z nim pisywał. Józef Ignacy Kraszewski zdaje się mówić: „Bądź odważny! Ja rozbuchałem powieść polską, a ty — co potrafisz? Autorka „Nad Niemnem” także przestrzega: „Pracuj zorganizowanie!” Ktoś „trzasnął” nawet wuja Borbrowskiego; kto wie, czy bez jego pomocy mielibyśmy wielkiego Josepha Conrada, który „myślał po polsku, pisał po francusku i przekładał to na angielski” — jak sobie. Anglo-sasy plotkują.

Z fotogramu patrzy sataniczny Stanisław Przybyszewski. Wyskoczył z piekielnego rusztu i na ścianę się wkropił, jeszcze młody i jeszcze „przybyszewszczyzną” całkiem nie zgnilony. Józef Szulski odremontował całą stęchłą niesfornej szla-

książek (jak Czetwertyński, z których Izabelli zawdzięczamy muzeum w Głuchowie, albo Działyńskich — Tytus zorganizował Bibliotekę w Kórniku) i hrabiów. Wreszcie stykamy się z — wygasającym już także — patrycjatem miejskim, ze sztywnymi oficjami, wymuskany mi damami, oraz z twardym życiem proletariatu. Wśród plebsu miejskiego są robotnicy i rzemieślnicy. Jest i lud wiejski. Są też Cyganie i Cyganki.

Wystawa jest zatem przeglądem odcinka kultury narodowej, a także — rozwoju sztuki fotograficznej. Poznajmy wielkich mistrzów twórczej fotografii: Kirchnera, Romera, Buihaka, Mariana i Witolda Dederków, Witkacego, Hartwiga.

Najpierw były reprodukcje dagerotypowe. Naświetlało się wtedy metalową płytę z emulsją światłoczułą, preparowaną z reguły przez samego fotografa tuż przed ekspozycją; taką płytę naświetlało się od

11
KONTAKTY
30 X 83

prezentacje

Poniecka się gorączkowała.

— Niech ordynat sobie wyobrazi, że pan Bohdan inlejuje u nas coraz nowe instytucje. Zamiarami swymi przeładujemy nas. Jakies tam szkoły, jakieś kolejki wąskotorowe z lasów, aby się chłopcy nie męczyli pracą. Słyszane rzeczy.

— No, no! Rzeczywiście! Bajeczny! — potakiwał Waldemar, dusząc się śmiechem, czego jednak księżstwo nie spostrzegł.

— Albo jego filantropia? Wprost skandaliczna! Rozbałamucia nawet służbę.

— Ale z administracją jest w zgodzie, o ile słyszałem?

— Zapewne! Bo ich także psuje swym liberalizmem. Mają w nim poplecznika. Do tego dochodzi, że się z niektórymi przyjaźni. C'est même choquant!

Książę wciąż uśmiechał się uprzejmie.

— Tak, to jest młodzieniec nie rokujący wielkich nadziei — mówił syblizując słowa. — Jego pochłona niskie warstwy społeczne. To nie jest karmazyn, chociaż z nich pochodzi.

Usta ordynata zaczęły się przeciągać w krzywą literę szyderstwa, ale milczał.

Księżna trzepała dalej. Oczy jej duże, czarne, narzbyt wypukłe, błyszcząły chęcią zemsty.

— Niech ordynat wyobrazi sobie co on mi zrobił. Jechałam raz do kościoła, z boną i z dziećmi. Dzieci lokaj wioził kucami, pana Bohdana zaprosiłam do powozu obok siebie. Bona naturalnie usiadła na przodzie. Tymczasem ten dziwoląg sam usiadł na przodzie, a tej starej babie wskazał miejsce przy mnie. Comment vous trouvez ça?

Ordynat zaśmiał się serdecznie. Wyobraził sobie wyłączną elegancję Bodzia i oburzenie księżnej. Najzabawniejszą jednak musiała być mina bony, nie przyzwyczajonej w Rusłoku do takiej uprzejmości.

— Pan się śmieje? — zdziwiła się księżna.

— A to smarkacz ten Bodzio! I jakże się ta historia skończyła? — pytał ordynat zdławiony śmiechem.

— Kazałam bonie zająć właściwe miejsce, jemu zaś zwróciłam uwagę. Ale... to na nic!

— Znowu babę przetransportował na siedzenie?

— Nie! Wysiadł z powozu, podziękował mi za towarzysztwo i do kościoła pojechał z rządcą prostą bryczką.

— Fenomenalny Bodzio! No, no — lekko kpil ordynat.

— Albo jeszcze: namawia nas, żeby pobudować letniska nad jakimś tam ukochanym jarem, a wie pan dla kogo? Oto, dla biednych suchotników, którzy nie mają na inne kurorty. Cały plan takich domów przedstawił nam i twierdził, że mieszkanie i utrzymanie dla tych... miłych gości powinniśmy dawać bezpłatnie, bo nas stać na to. Voyez vous? On rozporządza naszym majątkiem.

— To dopiero śmiały! Oburza mnie niesłychanie!

Książę zauważył wreszcie, że ordynat odzywa się jakimś tonem szczególnym. Dotknięty przykro księżę przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą również Michorowskiego, którego opinia mniej więcej zgadza się z opinią Bodzia. Poniecki mrugnął dyskretnie na żonę. I ona się zmieszała. Zaczęła zagadywać o czym innym i prędko pożegnali ordynata. Gdy znikł w drzwiach sali pierwszej klasy, Waldemar zaśmiał się swobodnie.

— Tableau! — zawołał prawie głośno.

(Cdn.)

Ordynat Helena Mniszek Michorowski 24

Ordynat tłumaczył, jak umiał, że Bodzio nie jest ekonomem, że listy pisze zadowolone i z rezultatów swej pracy się cieszy. Ale pani Kornelia nie dała się przekonać.

— To nie zajęcie dla Michorowskiego! Ach, mój Boże, gdybyż to mój mąż widział! — wzdychała dama przesadnie.

— Gdyby żył ojciec, Bohdan nie zostałby zrujnowanym — wybuchnął ordynat. — Teraz musi pracować, bo w przeciwnym razie nie będzie miał z czego żyć. U mnie na łasce nie zostanie: za dużo ma ambicji, i za to niepodobna go ganić.

Waldemar przypomniał pani Kornelii jej własne słowa, wyrzeczone do Bodzia o traceniu pieniędzy ordynackich.

— Wobec tego nie pojmuję dzisiejszej niekonsekwencji. Kuzynka wyrzeka się go, a teraz chce mu zabronić pracy? — dodał podrażniony.

Pani Michorowska była jak złapana. Sama nie wiedziała, czego chce jadąc tu i odjechała z niczym.

— Bodzio wyrabia się i będzie człowiekiem; ale chcąc nim zostać, musi chodzić po uczciwych steczkach — rzekł jej ordynat na pożegnanie.

Sam jednak postanowił odwiedzić Bodzia. Ale przedtem był w Słodkowicach. Pani Idalia, przebywszy lato z córką i z ojcem, znowu wyjechała za granicę i połączyła się z Barskimi. W kołach arystokratycznych mówiono nawet, że baronowa wychodzi za hrabiego Barskiego.

Ordynat wzruszył ramionami. Pan Maciej smutnie pokłwał głową. A Lucia rzekła tylko:

— Może i to.

Patrzała na Waldemara z niemym błaganem, jakby u niego szukając pociechy w zwym sieroctwie. A on przyjeżdżał często, mówił do niej dobre, miłe słowa i Lucia była szczęśliwa.

Gdy Waldemar przyjechał do Słodkowic przed podróżą do Rusłoka, pan Maciej spał. Lucia malowała na tarasie. Przywitani się serdecznie i siedli oboje przy sztalugach, w cieniu drzewa pomarańczowego. Waldemar zapalił cygaro, Lucia rozcierała farby na palecie. Na sukni miała obszerny fartuch malarski z czarnej satyny, warkocze spuszczone na plecy.

Waldemar patrzył na jej profil owalny; obrzucał ją całą miękim wzrokiem.

— Czemu ty, Lusi, ubierasz się zawsze tak żałośnie? — spytał.

Milczała chwilę.

— Taki już mam gust. Zresztą...

— Dokończ.

— Zresztą to mimowolne. Wewnętrzny stan duszy odbija się na formie zewnętrznej.

— Więc zawsze tak ci smutno?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i z wymówką.

— Zawsze.

— I dlaczego?

— Zartujesz ze mnie, Waldi! — odrzekła sucho.

On rzucił cygaro.

— 93 —

— 96 —

Wymyślne kostiumy, malowane włosy, makijaż na twarzach, wyreżyserowane miny i gesty. Na scenie kolorowe światło, a pod nią — masa rozkrzyczanej, młodej publiczności. Na estradzie pojawił się zespół „Lady Pank”. Krzyki, gwizdy, skakanie, machanie wyciągniętymi rękami. Atmosfera ta towarzyszy zawsze koncertom grupy, która ma wszelkie predyspozycje, by stać się zespołem roku.

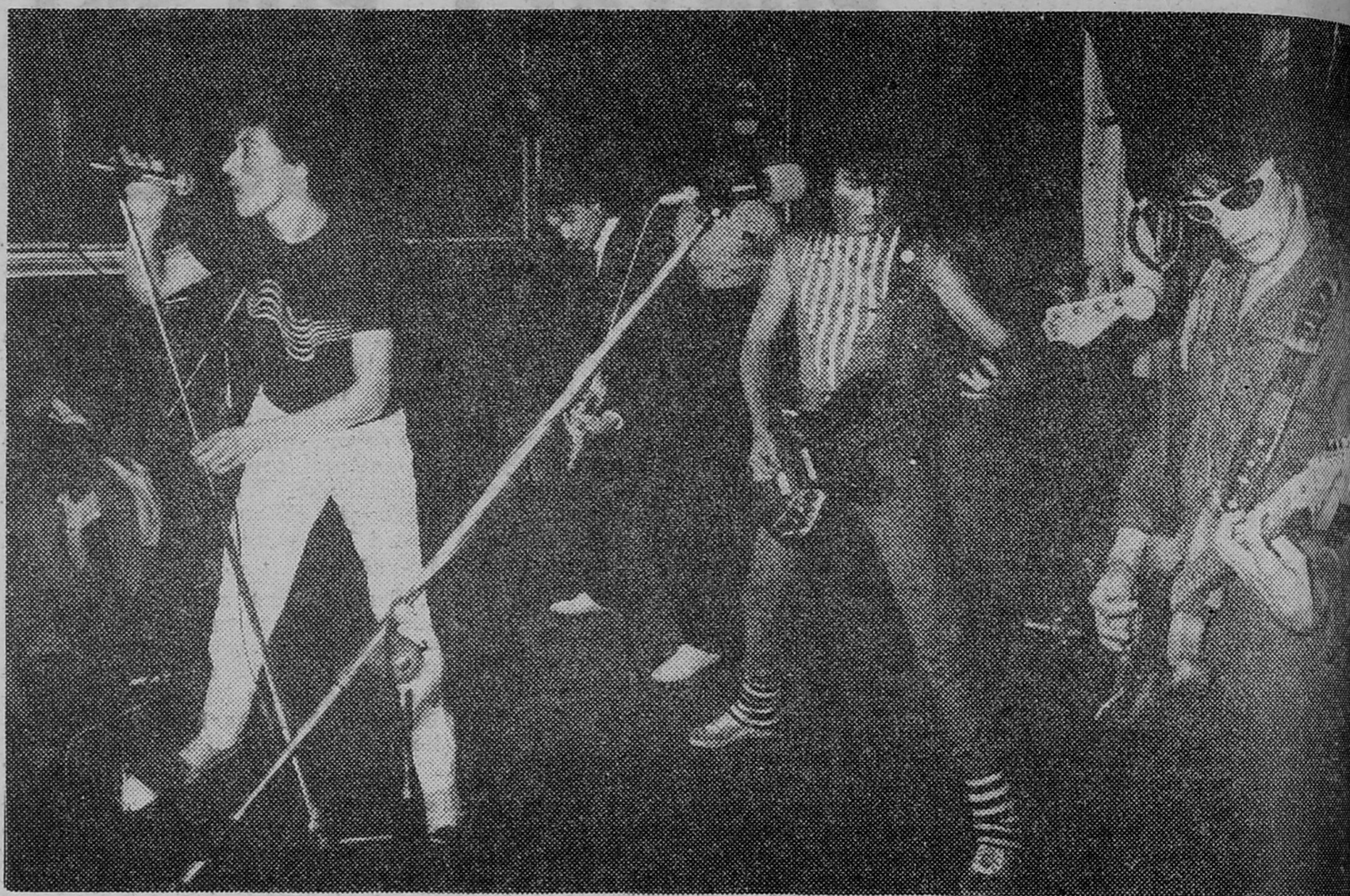
Zespół zadebiutował w sierpniu 1982 roku w warszawskim klubie „Park”. Idea powstania grupy narodziła się jednak o wiele wcześniej — w głowie gitarzysty Jana Borysewicza. Muzyk ten, grając w „Budce Suflera”, dał się poznać jako zdolny instrumentalista i kompozytor. Nie mógł jednak rozwinąć swego talentu, bo wiadomo, że gdzie świeci wiele gwiazd, żadna z nich nie może świecić jasno. Jan Borysewicz marzył o własnym zespole i graniu innej niż „Budka Suflera” muzyki. Stało się tak, jak zakładał. Po dogadaniu się z autorem tekstów „Budki” — Andrzejem Mogielnickim — Borysewicz zaczął kompletowanie zespołu. Zadebiutował on utworem „Mała Lady Pank”, który spodobał się słuchaczom. Potem przyszły inne. — „10 w Rio”, „Tańcz, głupia, tańcz”, „Vademecum skauta”, „Kryzysowa narzeczona” i wreszcie przebieg ostatnich tygodni — „Wciąż bardziej obcy”. Nagranie zupełnie inne od poprzednich, bardziej dojrzałe.

Większość piosenek „Lady Pank” charakteryzuje się łatwo wpadającą w ucho linią melodyczną, nie więc dziwnego, że każdą z nich natychmiast zdobywa miano przeboju. Niektórzy sugerują, iż w kompozycjach Borysewicza słychać brzmienie „The Police”. Być może w początkach działalności „Lady Pank” da się — na upartego — doszukać podobieństwa, jednak ostatnie propozycje grupy podstaw do porównań takich nie dają.

Zespół pracuje nad drugą płytą dla wytwórni „Savitor”; pierwszy long-play powinien ukazać się niebawem, a zawierać będzie znane już utwory zespołu. W ciągu dziesięciu miesięcy dwie duże płyty — to nie lada wysiłek.

Ostatnio „Lady Pank” gościł na Festiwalu Muzyki Młodzieżowej w Białymstoku. Koncert zespołu oglą-

«poni- żyletka»



dało ponad 2,5 tysiąca widzów. Po imprezie trudno było przecisnąć się do garderoby członków zespołu, jednak — dzięki pomocy organizatorów — udało mi się zapytać Jana Borysewicza o kilka spraw.

K. K.: — Czy macie ambicje stać się najlepszym rockowym zespołem w Polsce?

J. B.: — Każdy zespół tego chce. O wszystkim jednak decyduje publiczność. Nie ma koncertu gdzie gralibyśmy „na pusto”; to chyba mówi za siebie. Poza tym ten ciągły szum i gwar wokół nas, autografy, prośby o rozmowy, zdjęcia...

K. K.: — A czego oczekują od was fani?

J. B.: — Chyba tego, co robimy: muzyki żywej, niebanalnej, takiej,

w której o coś chodzi. Odbiorca jest bardzo wyrobiony i na byle tonie nie poleci.

K. K.: — Wasze plany na najbliższy czas?

J. B.: — Kończymy nagrywanie drugiej dużej płyty, a ja — pierwszą muzykę do filmu. Debiut mam za sobą, przed sobą koncerty. Prawie wszystkie dni w najbliższym czasie mamy wypełnione. Po za tym czeka nas sesja nagraniowa i dużo pracy.

Po ostatnich przetasowaniach zespołu „Lady Pank” tworzą: Janusz Panasewicz — wokalista, Edmund Steślak — gitarzysta, Paweł Mścisławski — basista, Jarosław Szałowski — perkusista oraz Jan Borysewicz — leader i gitarzysta.

- Nie żartuję, lecz uważam, że Słodkowice są dla ciebie zabójcze. Powinnaś wyjechać.
- Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.
- Dokąd?
- Aby ze Słodkowic! Ja zaopiekuję się dziadkiem, ty zaś pojedziesz z babką Podhorecką do Paryża. Lubisz ją, prawda? Ona bardzo tego pragnie. Wyjeżdża na całą zimę.
- Ja nie pojedę stanowczo — rzekła Lucia.
- Nawet gdyby cię o to prosił dziadzio?
- Nawet wtedy. Dziadzio mnie przed rokiem z mamą wysyłał za granicę, jednak nie pojechałam.
- A gdyby cię o to prosił?



Lucia przybladła. Zaczęła prędko mrugać powiekami, ale łzy nie dały się zatamować. Zaszklili się na rzęsach bujnymi kroplami.

Waldemar pochylił się do niej, delikatnie otoczył ją ramieniem i trochę przyciągnął do siebie. Lucia omdlewała.

- Czy wtedy pojechałabyś? — spytał szeptem.
- Chcesz się mnie pozbyć? — jęknęła i łzy spadły na farby.
- Ale pojechałabyś?
- Tak.

Paleta z brzękiem upadła na posadzkę tarasu. Lucia siedziała sztywna z oczyma przymkniętymi i ze zwieszoną głową.

Niewypowiedziane uczucie radości i słodczy ogarnęło Waldemara. Przyciągnął ją bliżej, przechylił jej głowę na swe ramię i wpił się ustami w jej zapiłakane oczy. Upojenie, równe chyba nieziemskim wizjom, wzięło Lucię w swój szlak promienny. Zamierała w cudnym pół śnie, pół jawie. Rzęsiste a palące iskierki szczęścia obsypały ją całą. Zachwyt dosięgnął zenitu, gdy usta Waldemara przycisnęły rozchylone wargi Luci.

Blagość i szal runął na nią potężnie, zatracał ją w niepamięci, w ekstazie bez wyjścia. Tylko te gorące usta ukochanego były dla niej wszystkim. Cały świat zmierzchnął jej i upadł w nicość. Czuli w sobie boskość.

Gwałtowna niepojęta siła oderwała nagle Waldemara od ust Luci. Zatrząsał się i błąd, nienaturalny, ucałował jej rękę, nie patrząc w oczy.

— Wybacz mi! — szepnął niespodziewanie.

Lucia rozjaśniona, jak majowe słońce, przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Głowę swą jasną złożyła na jego piersiach i spytała:

- Waldi. Dlaczego ty mi każesz jechać?
- Waldemar pogłodził dłonią jej lśniące włosy. Był zmieniony na twarzy.
- Zapomnij o tym i... zostań — wyszeptał.

Ona rozkosznie objęła ramionami jego szyję.

— Dobry, jedyny, ukochany! — mówiła bez pamiętnie, z głębi kipiacej miłością duszy.

Ucałował ją w czoło, ale już inaczej, po dawnemu. Chwila minęła, szal uleciał w poszumie nieprzyjemnej fali myśli.

Łagodnie odsunął ją od siebie i powstał. Brwi miał zsunięte, w oczach niepewność i jakby żal.

— Może się przejdiesz? — zaproponował Luci.

Odpowiedziała mu rozmiłowaniem spojrzeniem.

Długo chodzili po parku, rozmawiając niby poufnie, ale z trudem, o rzeczach zwykłych.

I męczyli się oboje.

XXXV

Ordynat jechał do Rustocka. Na jednej ze stacji centralnych spotkał księcia Ponieckiego. Wiedział, że ich nie ma w Rustocku, dokąd dążył, ale też spotkania nie pragnął. Księstwo natomiast witał go z pietyzmem.

Waldemar pytał o Bodzia, księżna wystąpiła ze skargą, niby to utrzymać w tonie żartobliwym, lecz tak, by ordynat mógł odczytać w jej słowach jad i ironię.

— Ach! Pan Bohdan? To skończony socjalista.

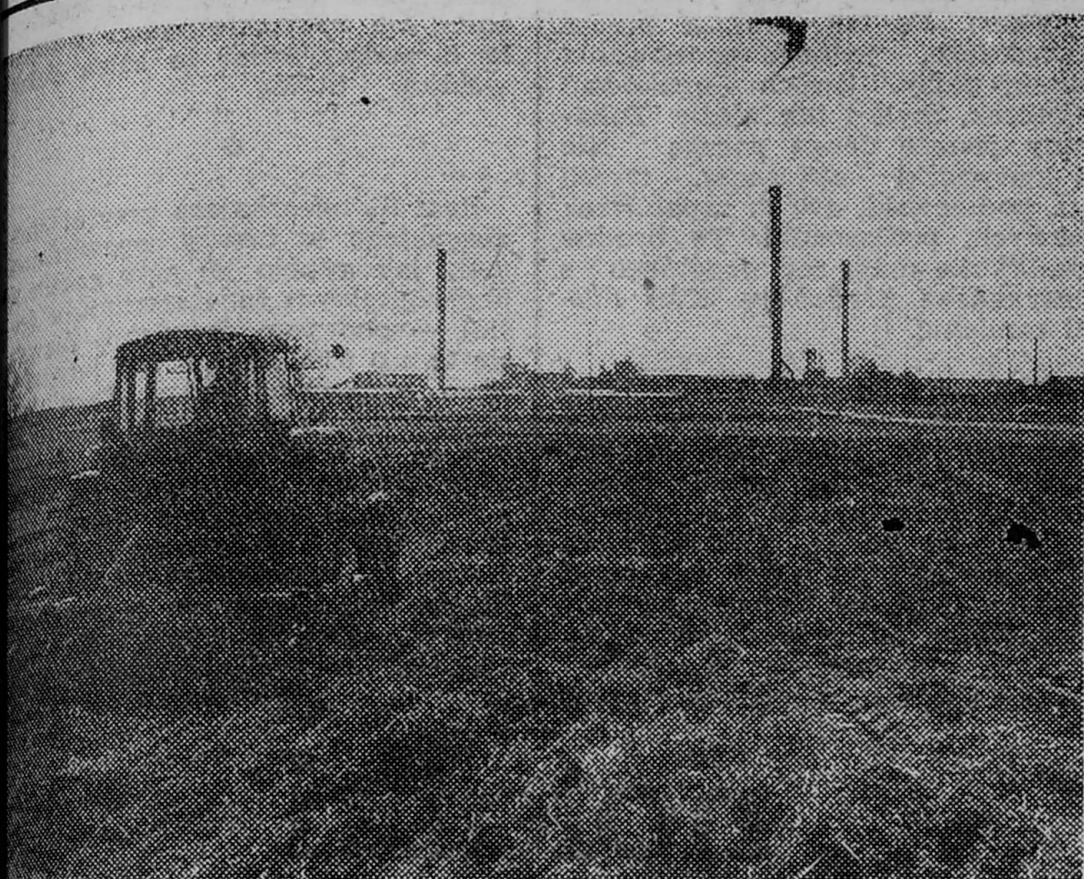
— Czyżby? — zdziwił się Michorowski.

— Ależ tak! Ordynat pojęcia nie ma, jakie on w Rustocku głosi idee.

— Doprawdy? Przestrasza mnie księżna! Cóż on tam robi?

Księżę pobłażliwie mrugnął oczyma.

— No, nic złego, nic złego.



smykiem po polu

Najstarszym narzędziem, jakim używał człowiek do pływającej uprawy roli i różnych prac pielęgnacyjnych, była brona galeziowa, czyli wiązki chrustu (lub wierzchołek drzewa), które ciągnął po polu. W późniejszym okresie szepcio- poprzecznymi łatami kilka pni słodkich drzew o przyciętych gałęziach. Urządzenie to ciągnęły woły lub konie. W północnej Polsce używano takiej właśnie brony do XIX wieku i nazywano ją sękatką lub smykiem.

Z kolei w Indiach wynaleziono bronę grabie, składającą się z grubych deski z drewnianymi kołkami, która i rekojaści. W Azji rozpowszechnili ją Chińczycy. Kraje śródziemnomorskie nie znały w starożytności brony, a w średniowieczu

jej rolę spełniały belka, deska lub walec

W Polsce i na Rusi używano broni laskowych, witkowych lub „kokoszek”, wykonanych z pęków prętów leszczynowych, powiązanych tykiem w kratę, z osadzonymi na skrzyżowaniach kołkami dębowymi lub grabowymi.

Od XVI wieku rozpowszechniły się w polskich folwarkach brony beleczkowe z zębami drewnianymi, „bronikami” lub żelaznymi „gwoździakami”. W 1939 roku Anglik William Armstrong opatentował wynalazek całkowicie żelaznej brony zygawkowej, która została ulepszona przez Jamesa Howarda. Każdy jej zab naczył swój własny ślad. Stała się ona punktem wyjścia do dalszych usprawnień.



wet zo wet

W londyńskim komisariacie policji szorstko odmówiono reporterowi wszelkich informacji na temat drobnej strzelaniny, wobec tego wieczorem zadzwonił on bezpośrednio do komendanta, który przyrzekł badać sprawę.

O drugiej w nocy komendant zadzwonił do właściciela gazety, w której był zatrudniony reporter, i rozpoczął wylewnie się usprawiedliwiać: „Nie potrafię panu powiedzieć, jak mi przykro... To okropne, że

któryś z moich oficerów... W pełni zdaję sobie sprawę, że prasa ma prawo... Badam właśnie tę sprawę i zatelefonuję do pana jeszcze za godzinę. Nikt bardziej ode mnie nie stara się dostarczyć czytelnikom pełnych informacji. Będę zawiadamiał pana osobiście o dalszym rozwoju wypadków” itd. „Na miłość boską, panie... — zawołał zbudzony i rzucił słuchawkę.

W ten sposób komendant policji upewnił się, że reporter będzie miał rano piekielną awanturę.

w co się grało

Za czasów Edmonda Holey, autora i wydawcy książki o grach, na- dziadkowie zabawiali się w: Pe- to Sanchez, Welingrona i Bluchera, piabrasellę, cayenne, gulasz, Berge- padnij trupem, przerznięj jarmera, ropuchę, małego ka- racha, rach-ciach-chrap, wdowę... Bergantua u Rabelais'ego miał do- wpoziycji szerszy wachlarz rozry- nek. Grywał w podaj dalej, pry-

mę, w moja-twoja, kupki, pikardę, durnia, mariasza, wilka i owce, ron- fle, more, nik-nok, szewca, „święty Kosmo, ja twój sluga”, pierdzimkę, trzesionkę, ropuchę, buru-buru-bux, defendo, w solonyzadek, tirlitanyne, marylską figę, brzuch do brzucha, pikietę, mydło, kapucyna i trzy rzadki. W sumie spędzał czas na 213 grach.

szkodniki w doniczkach

Najtrudniejszą sprawą przy pie- legnowaniu roślin doniczkowych jest dostarczanie im odpowiedniej ilości wody, przy czym gorsze jest zbyt obfite podlewanie niż chwilowe przesuszenie. Roślina „przelana” traci swoją równowagę biologiczną i staje się mniej odporna na wszelkie choroby, spowodowane bakteriami, grzybami lub szkodnikami. Jest to wtórny objaw niewłaściwej pielęgnacji.

Przy nadmiernym podlewaniu roślin pojawiają się w ziemi dżdżownice, szkodliwe jedynie w większej ilości. Ich obecność można poznać po pojawieniu się na podstawkach małych cząsteczek ziemi, przypominających wyglądem trociny.

Gdy po nieco obfitszym podlaniu dżdżownice wychodzą na powierzchnię, należy je wyłapać albo zanu-

żyć donicę w wodzie aż nad powierzchnię ziemi. Po upływie 1-2 godzin dżdżownice wyjdą na zewnątrz.

Przy nadmiernej wilgotności gleby pojawiają się w niej małe, białe, nieprzezroczyste robaczki o podługnym kształcie, podobne do dżdżownic — tzw. wazonkowce. Wówczas należy roślinę przesadzić do innego pojemnika, zmieniając przy tym ziemię.

Stonogi o charakterystycznym, spłaszczonym tułowiu i wielkiej ilości małych nóżek, żyją w glebie zbyt wilgotnej i nadmiernie ubitej. Gromadzą się one pod doniczkami. W pomieszczeniach mieszkalnych występują rzadko, natomiast można je zaobserwować pod skrzynkami lub doniczkami na balkonach, zwłaszcza po długotrwałych deszczach. Większe pojemniki, umieszczone na podstawkach, powinny mieć przybite do dna wąskie listwy, aby drewno nie ulegało zbyt niemu nawilgoceniu.

MAKROBIOTYKA (4)

PRZEŻYWANIE i PICIE

Większość dolegliwości i chorób, zwłaszcza systemu trawiennego, zawdzięczamy niewłaściwemu przeżywaniu. Jedząc w pośpiechu — nawet najbardziej odżywczy i wartościowy pokarm zamieniamy w trudno przyswajalny balast dla swego organizmu. Jama ustna stanowi jedną z najważniejszych części układu trawiennego. Tutaj pokarm zostaje przygotowany do niezwykłego procesu, który zamienia go w krew, mięśnie i kości.

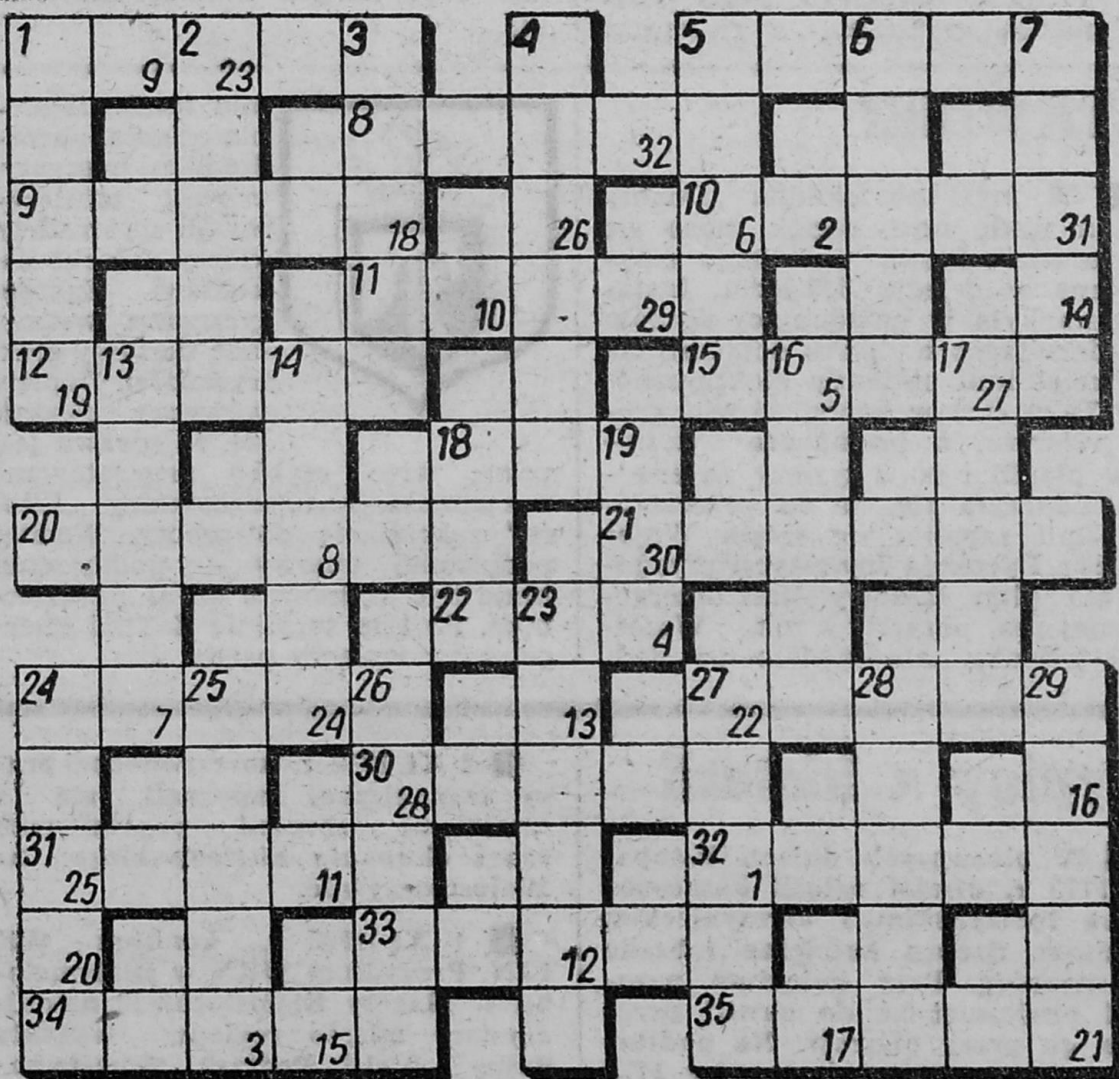
Makrobiotyka mówi, że przekazywanie pożywienia do żołądka w sposób niewłaściwy jest taką samą bezmyślnością, jak użycie ropy naftowej do silnika benzynowego. Żęby i ślina, która zawiera ważne enzymy trawienne, mamy tylko w jamie ustnej; zatem tutaj pokarm powinien być przeżuty i dokładnie zmieszany z tymi enzymami, aby nasz organizm lepiej przyswoił jego składniki. Złe przeżucie powoduje niepotrzebną nadprodukcję kwasów trawiennych i sprawia, że z biegiem czasu mamy skłonność do nadkwaśności, która — z kolei — rozregulo-

wuje apetyt: chce nam się jeść w niewłaściwych porach.

Nie ma też potrzeby pić wielkiej ilości płynów dziennie. Ich nadmiar wywołuje uczucie znużenia, obciąża nerki i powoduje ból w krzyżu. Jedynym powodem picia musi być pragnienie. Na początku ograniczenie płynów może być trudne, lecz to, co zyskujemy na ich rozsądnym spożyciu, w połączeniu z właściwą dietą, warto jest wysiłku.

Najwięcej pożytku dają świeże soki jarzynowe i warzywne, herbaty z ziół (np. z pokrzywy, dzikiej róży, jarzębiny, owoców lub kwiatu głogu) i kawa z korzenia łopianu. Kawa naturalna pobudza system nerwowy bez żadnego pożytku, a ze znaczną szkodą.

Przepis na kawę z łopianu: suszony, rozdrobniony korzeń umieszczamy na blasze, wkładamy do piekarnika i pieczemy, aż stanie się brązowy (nie przypalony!). Następnie gotujemy go z wodą i otrzymujemy smaczny, zdrowy napój.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 32, utworzą przysłowie polskie.

POZIOMO: 1) przenikliwie zimno, 5) korpus, ciało ludzkie, 8) wirnik, 9) najdłuższe i najszybsze pióro w ptasim skrzydle, 10) pomoc z powietrza, 11) nad tym jeziorem leży Kruszwica, 12) mówienie rzeczy nieprawdziwych, 15) woreczek na pieniądze, 18) używany do pieczętowania listów, paczek, 20) np. liana, 21) miejsce obwarowane, zamek, baszta, 22) typ niskiego konia, 24) owoc południowy, symbol dobrych interesów, 27) magazyn z towarami, 30) ułożenie zębów szczęki i żuchwy, 31) roślina z rodziny wargowych, 32) pali się, 33) chluba słońca, 34) wada towaru, produktu, 35) miejsce akcji „Iliady”.

PIONOWO: 1) nasz powszedni, 2) lalka z teatru kukielkowego, 3) pogłębiarka rzeczna, 4) kil, 5) sakwa, 6) włóczga, 7) ognisko pod gołym niebem, 13) ziemia nadana przez seniora wasalowi, 14) przyjaciel Mai, 16) stara, drogocenna rzecz, przedmiot, 17) miara powierzchni gruntu równa 30 morgom, 18) medykament, 19) rodzaj derki, pled, 23) ubiór zwierzęcia pośladowego, 24) rodzaj szczególnego sklepu, 25) samica łosia, 26) wierzchni ubiór, 27) włogaczna, 28) mebel do spania, 29) koc, pled. (GENTO).

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania (tylko hasło), rozlosujemy nagrody książkowe.

stragan pod trzynastką





kunastoma laty, przywlezione prawdopodobnie w transporcie żywności. Gdyby nie interwencja Sanepidu, PSS otwarłby nowy sklep (nr 14) z urządzeniami chłodniczymi, w których zganieżdziły się karaczasy. Białostocki Zakład Dezynfekcji i Deratyzacji obsługuje aż trzy województwa, dlatego zdarza się, że nie na każde wezwanie przysyła ekipę. Sklepy kolneńskie zostały już z tych szkodników oczyszczzone (przywiozą je czasem samochody dostawcze np. z Zakładów Drobniarskich), natomiast nie może się z ni-

SZCZUCZYN

■ Trudności w zdobyciu produktów wytwarzanych w Spółdzielni Inwalidów okazały się przejsiowe. Pomyślnie przebiegły targi poznańskie. Największym zainteresowaniem przedstawicieli handlu cieszył się: dezodorant do WC „Mix”, sól kąpielowa „Pinosol” i sól do nóg „Morsol”. W magazynie zgromadzo- no sporą ilość zniczków nagrobko- wych. Zamówienia na nie mogą wpłynąć nawet w ostatnich dniach



Po zatrudnieniu włośniem pełne ręce roboty mają lekarze z Weterynaryjnej Inspekcji Sanitarnej. Codziennie do lecznicy zgłasza się po kilkanaście osób z prośbą o zbadanie mięsa. Weterynarze apelują, aby do badań dostarczać całe sztuki ubitych zwierząt, co umożliwiałoby wykrywalność larw włośni. Włośniem mogą być zarażone również dziki. Spotyka się go także u zająców i królików, ale w ilościach niegroźnych dla zdrowia ludzkiego. Jego nosicielami są gryzonie, a zwłaszcza

STAWISKI

■ W myśl porzekadła: „Dopóty dzban wodę nosi, dopóki ucho się nie urwie”, działa instalacja elektryczna w osiedlu 550-lecia. Instalowana była w następujący sposób: do pierwszego budynku dołączali się po kolei inni odbiorcy elektryczności. Taka sieć w każdej chwili grozi pożarem, a posiadacze liczników płacili i po 8 tysięcy za energię. Zdarzyło się, że od przeciążenia linii zapaliła się szopa. Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji przygotowała plan budowy linii energetycznej na przyszły rok. Wcześniej jednak, ale dopiero po sied-

wypisy z historii

■ W pierwszych dniach listopada 1773 r. oficjalnie ogłoszono kasacyjnym brewe łomżyńskim i myszyńskim jezuitom. Srebra kościelne zabrano do mennicy. Przy kolegium pozostali ekszejuici aż do chwili przejęcia go przez pijarów. Na podstawie ustawy sejmowej z roku 1773 — dobra pojezuickie weszły do ogólnego funduszu edukacyjnego.

■ 2 XI 1942 r. żandarmi niemieccy przypędzili do wsi Pobikry 150 mieszkańców Clechanowca (pochodzenia żydowskiego), powiązanych drutem kolczastym, i przy drodze do wsi Małec rozstrzelali ich. Zwłoki pochowali w zbiorowej mogile na miejscu kaźni.

■ 2 XI 1942 r. — likwidacja getta żydowskiego w Łomży i wypędzenie Żydów do koszar w Zambrowie.

■ 29 X 1949 r. sąd w Białymstoku skazał na karę śmierci hitlerowskiego zbrodniarza wojennego, kaptala białostockiego getta, Fritza Gustawa Friedla.

KOLNO

mi uporać szpital. Najlepiej byłoby poddać działaniu środków chemicznych wszystkie pomieszczenia jednocześnie, ale jest to niemożliwe, bo równałoby się zamknięciu szpitala. Pracownicy szpitala nie wykonują zaleceń Sanepidu dotyczących np. uszczelniania pomieszczeń. Służba dermatyzacyjna musi już rozpocząć kolejną batalię: z gryzoniami, które z pół wędrują do zabudowań miejskich przez nie domykające się drzwi na klatkach schodowych i stłuczone okienka piwniczne. Według informacji Sanepidu — gryzonie prawie bezkarnie buszuja w wielu sklepach spożywczych. Białostocki Zakład DiD nie może sobie poradzić z zamówieniami; czy nie czas najwyższy powołać podobną placówkę w województwie?



października. Skończyły się też problemy z zaopatrzeniem w surowce krajowe; gorzej z importowanymi. Spółdzielnia przygotowuje partię 300 sztuk mydełek hotelowych do RFN-u. Zarobione dewizy dzieli centralny dysponent, który nie zawsze dostrzega potrzeby szczytyńskiej spółdzielni.

ZAMBRÓW

szczury. Łańcuch rozwoju pasożyta można przerwać tylko przy zachowaniu szczególnej higieny w pomieszczeniach gospodarczych. Człowiek nie jest nosicielem włosienia, może natomiast zarażać tasieniemcem. W dostarczonym do badań w ostatnim czasie mięsie zwierzęcym zdarzają się pojedyncze przypadki wągów tasieńca. Od ub.r. natomiast nie stwierdzono zachorowań na salmonelozę. Często za to zdarza się zapalenie wymion u krów. Przyczyna: złe warunki higieniczne w oborach (np. zbyt rzadka zmiana podściółki).



miu latach istnie-
nia osiedla, urzą-
dzeniami energety-
cznymi zaintere-
sowali się strażacy,
którzy polecili Zak-
ładowi Energe-
tycznemu wstrzy-
mać dostawę elek-
tryczności. Dopiero
wówczas okazało
się, że sprawa jest
pilna, więc szybko przygotowano
dokumentację i pracownicy „Eltoru-
ru” zabrali się do roboty. Według
podpisanej umowy — podłączenia
mają być wykonane do 31 paździer-
nika. Po tym terminie Zakład Ener-
getyczny wyłączy prąd.

■ 2 XI 1958 r. korespondenci prasy zagranicznej zapoznali się z miejscami zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na Białostocczyźnie.

■ 1 XI 1963 r. konkurs WK FJN, Prezydium WRN w Białymstoku i „Gazety Białostockiej” na najczystsze miasto regionu wygrały Sejny i Bielsk Podlaski. Trzecią nagrodę uzyskała Hajnówka, a wyróżnienia zdobyły: Goldap, Łomża, Mońki, Supraśl i Zambrów.

■ 26 X 1964 r. — z udziałem 152 delegatów — odbyła się V Wojewódzka Konferencja ZMS. Organizacja liczyła ponad 15 300 członków. Na konferencji wybrano 19 delegatów na III Krajowy Zjazd ZMS oraz nowe władze wojewódzkie.

■ 29 X 1967 r. odbyła się w Ciechanowcu centralna inauguracja roku szkoleniowego ZMS.

■ 1 XI 1976 r. został zainaugurowany pierwszy rok akademicki w punkcie konsultacyjnym Zawodowe Studium Administracyjnego Uniwersytetu Warszawskiego w Łom-

— Proszę bardzo, paczka rozetrwana, w środku wszystko poprzewracane. Możemy zaraz porównać ze spisem. No tak, brakuje klucza francuskiego, jednego opakowania żyletek, bluzy, dwóch opakowań majteczek, czyli i tak nieźle. Zobaczymy jeszcze drugą paczkę. Nie ma marynarki skórzanej, trzech bluz, podszewski, dwóch zapalniczek gazowych, podkoszulki. Te brudne ręczniki nie mają nic wspólnego z amerykańską produkcją. Ktoś musiał zamienić.

Eugeniusz Oleszczuk i Józef Kotowski niedawno wrócili ze Stanów Zjednoczonych. Byli tam wystarczająco długo, by zarobić trochę grosza i móc to czy owo wysłać paczkami do Polski. Ostatnią ich partię odebrali już sami. Przynieśli jej do redakcji, by rozpakować przy dziennikarzu. W poprzednich sześciu paczkach nie doliczyli się różnych rzeczy na ogólną sumę około dwu-

stu dolarów. W jednej z nich brakowało nawet ponad 60 proc. wartości.

— Myślmy, że paczki okradziono już w Polsce. Agent w Stanach Zjednoczonych nie ryzykowałby dobrego interesu dla kilkuset dolarów. Zresztą, skąd wzięłyby brudne polskie ręczniki?! Najprawdopodobniej więc zdarzyło się to w Przedsiębiorstwie Spedycji Międzynarodowej „Hartwig” w Gdyni. Tam przecież sprawdza się zawartość paczek. W poprzedniej partii wkładaliśmy do środka spisy wartości, dostaliśmy więc protokół stwierdzający, że paczki przyszły naruszone.

Rzecz charakterystyczna — z

paczek ginęły rzeczy, które mógł
zainteresować przede wszystkim ko-
biętę. Być może to zbieg okolicz-
ności, ale wszystkie paczki otwiera-
ła (i podpisywała) ta sama pako-
waczka. (A.W.)

Pani S., mieszkająca przy ul. Bro-
niewskiego w Łomży, opowiadała,
jak minęło jej parę godzin w
przyszpitalnym laboratorium, a ści-
ślej — pod jego drzwiami. Zjawia-
 się tam o 6.50, gdyż o 7.00 laborato-
rium rozpoczyna pracę. Tego dnia
przyjmowanie pacjentów zaczęło się
o 7.45, a skończyło bardzo szybko,
gdyż rzekomo brakowało pacjenta-
ków. Niezadowolonych skierowano
ze skargami do dyrektora. Pani S.
trafiła znów nieszczerze, bo dy-
rektor był zajęty; nie było to zre-
szta jego godziny przyjęć. Wracając
spostzegła, że w laboratorium znów
przyjmują. I tym razem nie trwało

to długo — zabrakło igieł. Potem okazało się, że są i panie do pobierania krwi, i igły, ale laborantka nie zdążyłaby zrobić takiej ilości wyników.

Pani S. pyta, czy nie można bez kręcenia powiedzieć ludziom w ko-
leje, ilu pacjentów zostanie za-
wionych w danym dniu. Zaoszczędzi-
łoby to wszystkim nieco nerwów
i wiele czasu, bowiem oczekujący
na badania najczęściej zwalniali się
z pracy.

Mamy nadzieję, że zazwyczaj wrażliwa na skargi pacjentów dyrekcja Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego i tym razem zainteresuje się zasygnalizowanym problemem.

(D.W.)

notatki z dyżuru dziennikarskiego

ANOMALIE

Od kilku lat przysłowiowa zmienność nastrojów kobiet jest niczym przy figlach, jakie płata nam pogoda, dzięki którym dziwne rzeczy dzieją się w przyrodzie. Drzewka owocowe, truskawki, pomidory i kasztany kwitną dwa razy w roku. Niektóre grzyby pojawiają się w okresach najmniej przez zbieraczy spodziewanych, inne w ogóle się nie pojawiają. Ryby potraciły instynkt zachowawczy: biorą z wiatrem i pod wiatr.

Na Kúrpiach jabłonie zakwitły po raz drugi. U kogo? U Jana Fiergielewskiego z Dobrego Lasu (gmina Zbójna).

Prawdziwków w zeszłym roku było ledwo na lekarstwo; teraz rosną stadami — po trzy, sześć i dziewięć w jednym miejscu. Te pochodzą z lasów koło Górek Sypniewa (gmina Piątnica).

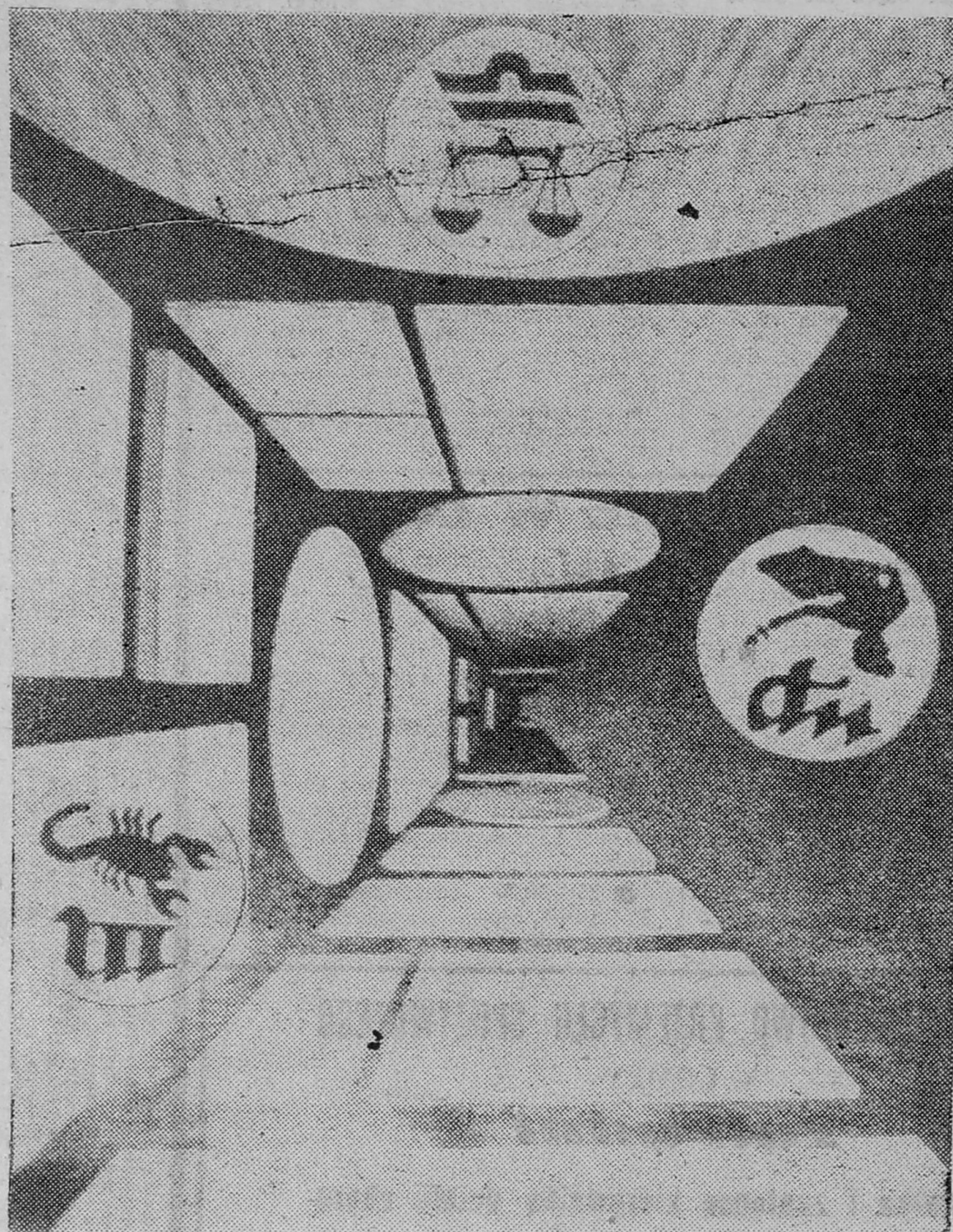


Tekst: 1. dzieła Gahora Löhrincze

[illegible]

**Warunki
prenumera**

wróżbici i polityka



Hitler rozpoczął wojnę we wrześniu 1939 r.; astrologowie wskazali mu ten moment jako decydujący dla jego kariery. Tak przynajmniej twierdzi Murray Butler, historyk amerykański. Z usług astrologów korzystał nie tylko on, także całe jego otoczenie. Ich opinie miały poważny wpływ na sprawy państwowe. Znaną nazwiską von Sebottendorfa, Elizabeth Ebertin, a także Ernesta Kraffta. Ten ostatni przewidział w jednym z horoskopów, że Hitler albo wygra wojnę do końca 1942 roku, albo skończy się ona katastrofą w roku 1945. Po ucieczce Rudolfa Hessa, któ-

ry podsuwał wróżbitów Hitlerowi, do Anglii, Krafft zamknięto w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, gdzie zmarł dokładnie w dzień zwycięstwa, czyli 8 maja 1945 roku. Andre Barbault, francuski badacz astrologii, przekonuje, że również brytyjskie Ministerstwo Wojny miało na usługach astrologa. Ale nie wyszukiwał on pomyślnych dni dla rozpoczęcia działań, tylko momenty dogodne... dla wojsk niemieckich. Ponoć Wehrmacht opierał się na działaniach astrologów (zaświadcza o tym dziennik Jodla). Brytyjczycy w ten sposób uprzedzali działania niemieckie.

LESZEK SZUMAN

ŻYCIE



PO ŚMIERCI

**HISTORIA CZŁOWIEKA
KTÓRY ZMARŁ
DWA RAZY**

— 8 —

Historia Japończyka Iwao Ischitawata była i jest zagadkowa. Podczas nalotu lotniczego na Kobe w czasie ostatniej wojny został on zasypany pod gruzami zburzonego bu-

dynku. Kiedy po kilku godzinach wydobyto go na powierzchnię, jego serce było już bardzo słabo. Natychmiast zabrano go więc do szpitala i umieszczono na stole operacyjnym. Miał wgniecioną w dwóch miejscach czaszkę i kilka ran ciętych na całym ciele od odłamków bomby. Poza tym niebezpieczne uszkodzenie kręgosłupa. Lekarze byli zdania, że jeżeli uda się go uratować, to i tak na całe życie pozostanie kaleką. Na przekór tym prognozom odporny organizm Japończyka pozwolił mu nie tylko przetrzymać operację, lecz także szybko powrócić do zdrowia. Wypadek pozostawił jednak ślady: usposobienie poszkodowanego uległo znacznej zmianie.

Gdy ktoś chciał z nim porozmawiać o przyczynie tak radykalnej zmiany jego sposobu bycia, młody człowiek nie odpowiadał, unikając starannie we wszelkich rozmowach tego tematu. Nie reagował nawet na pytania ojca, co w Japonii uchodzi za szczyt braku dobrego wychowania.

Kiedyś jednak zdecydował się porozmawiać o zagadnieniach, które nie dawały mu spokoju. Jako powiernika swej tajemnicy wybrał misjonarza, który go nawrócił na religię katolicką. To, co powiedział młody Japończyk, jest bodajże naj-

święty ogień — Agnihotrę — pali się rytualnie o wschodzie i zachodzie Słońca. W naczyniu miedzianym o kształcie ściętej i odwróconej piramidy płoną pomarańczowym światłem, niemal nie wydzielając dymu, suszone krowie łajno, dokładnie sklarowane masło i szczypta nieluskanego ryżu. W czasie ceremonii intonuje się hinduską mantrę. Palenie Agnihotry ma działanie oczyszczające, energetyzujące i lecznicze. W kilku miastach Polski powstały już przy Stowarzyszeniu Radiestetów sekcje skupiające zainteresowanych.

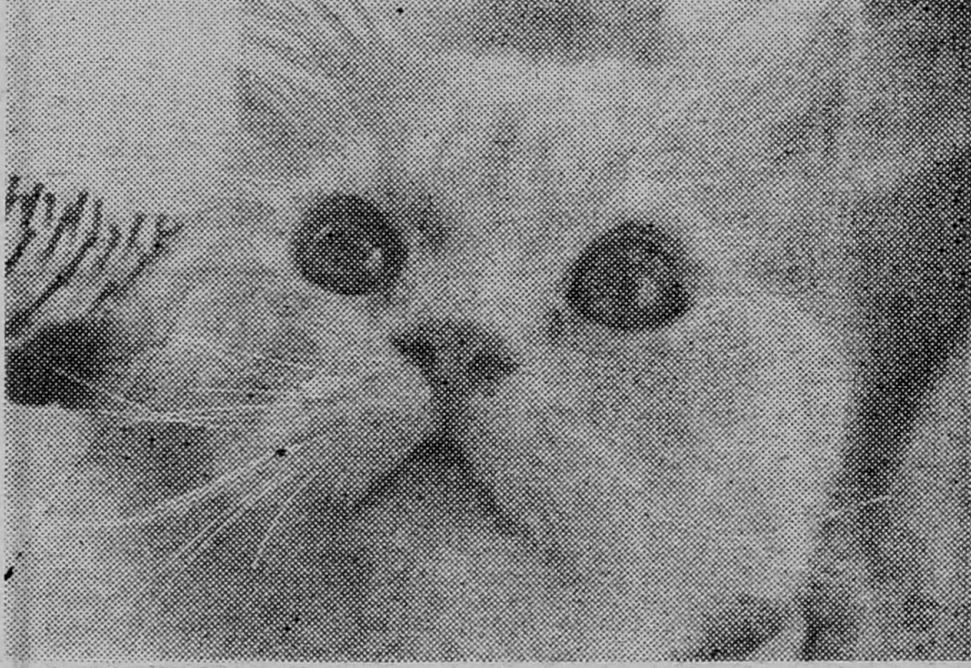
Oto kilka relacji uczestników ofiary ognia: Pani J. K., lat 68, z Warszawy cierpiała na migotanie przedsionków serca. Leczyła się kilka lat w szpitalach i sanatoriach, brała systematycznie leki; ataki nie ustępowały. Nie pomagały wizyty u bio-energoterapeutów. Po kilku uczestnictwach w ceremonii Agnihotry liczba ataków serca znacznie się zmniejszyła. Kobieta zaczęła nawet pracować po 7 godzin dziennie w ogródku i lepiej sypiać. Ma nadzieję na całkowite wyleczenie.

Pani D. K. miała oparczenia dłoni podbiegające materią, pulsujące, nie

na potwierdzeniu faktu, że świadomość człowieka po opuszczeniu fizycznego ciała istnieje i w sprzyjających okolicznościach może zmanifestować się w świecie materialnym.

Józef Karpacz z Elku eksperymentuje z roślinami, a ściślej — z ich uzdrawiającą energią. Prowadzi na ten temat obszerne studia i odkrywa ciekawe zjawiska. Oto jego hipoteza: świat organizmów roślinnych posiada pierwotną, agraniczną formę „świadomości” i „podświadomości”, w których przechowuje duży zasób informacji ze swego najbliższego środowiska. Z bardziej rozwiniętymi, a korzystnie działającymi na człowieka roślinami można nawiązać kontakt, przeprowadzić z nimi „rozmowę”. Kontakt z wybranym drzewem musi być przyjazny. Należy je grzecznie poprosić o przekazanie przez dłoń lub ciało uzdrawiającej siły. Gdy uznamy, że poczuliśmy efekt, trzeba drzewu serdecznie podziękować i wyraźnie poinformować je, że zakończyliśmy pobieranie energii. Jeśli przekazu nie zakończymy, drzewo będzie nas wzmacniało na-

NIEWIARYGODNE ACZ PRAWDZIWE



gojące się. Po zastosowaniu maści z popiołów Agnihotry rany zagoiły się doskonale.

Inni chorzy donoszą o szybkim i całkowitym uleczeniu takich dolegliwości i chorób, jak bardzo silna nerwica, wyczerpanie, wypryski, grzybiczne, przewlekły stan zapalny spojówek, bezsenność, alergiczna astma oskrzelowa i innych.

10 września 1975 r. na kliszy zdjęć wykonanych przez pewnego warszawskiego studenta (fotografował ulice Warszawy) pojawiła się — wyraźnie widoczna — twarz niedawno zmarłego pisarza. Student nie potrafił wytłumaczyć przyczyny dziwnego zjawiska: złożył świeży film do aparatu i sam go wywołał zgodnie z normalną procedurą. Poproszona o wyjaśnienie zagadki pani Jasiewicz, parapsycholog i okultystka, nawiązała, jak twierdzi, kontakt ze świadomością zmarłego pisarza i otrzymała potwierdzenie: „Tak, to byłem ja. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, ale zależało mi

na tym, abyś wiedział, że to ja byłem, a nie ktoś inny.”

Metodę Józefa Karpacza już od dawna stosują radiesteci; „rozmarwiają” z domową paprotką. Ta ładuje ich organizmy potrzebną dawką witalizujących ładunków energetycznych i pięknie się rozwija, jeśli w domu panuje przyjazna wobec niej atmosfera, a domownicy pamiętają o „rozmowach” i zapewnijają ją o swoim serdecznym nastawieniu.

Marian Kozłowski w książeczce „Lamus ciekawostek” (KAW, 1976) pisze: „52 karty talii odpowiadają liczbie tygodni w roku. Cztery kolory wyobrażają kiedyś cztery pory roku i jak każda pora składa się z 13 tygodni, tak w każdym kolorze mamy po 13 kart. Dodając do siebie wszystkie punkty każdego koloru (As — 1, walet — 11, dama — 12, król — 13), otrzymamy liczbę 91, odpowiadającą liczbie dni w kwartale. Suma wszystkich punktów w talii wynosi 4 razy 91, czyli 364, tj. prawie tyle, ile dni w roku”.

ciekawszym sprawozdaniem, jakie człowiek żyjący na Ziemi mógł wygłosić.

— Kiedy spadła bomba, a mnie zasypywały gruzy budynku, byłem bliżej śmierci niż życia... Ogarnął mnie przeraźliwy strach, jednak nie był to strach przed śmiercią, lecz cierpieniem, przed konaniem. Strach mój był tak wielki, że zacząłem krzyżeć. Nie wiem, czy mnie ktoś usłyszał. A w ogóle może tylko chciałem krzyżeć i nie wiadomo, czy mogłem. W każdym razie wydawało mi się, że krzychałem tak długo, aż ogarnęło mnie uczucie, jakbym wystąpił z mego ciała fizycznego. Zdawało mi się, że nagle znalazłem się w jakimś pomieszczeniu, gdzie było zupełnie jasno, chociaż nigdzie nie mogłem dostrzec ani okna, ani żadnego otworu w ścianach. Światłość ta była jaśniejsza niż blask słońca, a mimo to łagodna i przyjemna. Nie raziła w oczy, nie paliła i nie grzała. Co dziwniejsze, pomieszczenie, o którym wspominałem, nie było właściwie żadnym pomieszczeniem, przynajmniej w naszym, ziemskim znaczeniu. Było ono niczym nie ograniczone.

Próbowałem zastanowić się, gdzie znajduje się pomieszczenie, w którym jestem, i jak się tutaj dosta-

łem. Te bezwonne myśli były stale zakłócone przez obrazy i refleksje z mojej własnej przeszłości, występujące z niebywałą precyzją. Przed moimi oczami przesuwały się sceny tak wyraźnie, jakbym je przeżywał przed chwilą.

Nagle chwyciła mnie jakaś obca istota, wyglądająca jak człowiek. Była ona jakaś mglista i świetlista, po prostu niezemska. Istota ta mogła także przenikać przez wszystko bez przeszkód, takie w każdym razie odniosłem wrażenie. Zdawało mi się, że owa istota mogła także wtargnąć we mnie i mnie przeniknąć. Postać ta sięgnęła po mnie, lecz nie był to gest wrogi. Przeciwnie, raczej zamierzała mi pomóc — tak wyczuwałem — abym oderwał się od czegoś, co mnie przygniata i wlezi.

Po chwili do tej istoty przyłączyły się inne, podobne, które zdawały się przybywać z bezmierną dali owego pomieszczenia. Wówczas dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że już nie żyję i że owe istoty zamierzają mi ułatwić przejście na tamten świat. Jak doszedłem do tego wniosku — nie wiem, chyba po prostu nagle zdałem sobie z tego sprawę. Myślę, że idea ta przenikała mi na drodze telepatycznej, że podały mi ją owe istoty. (cdn.)

wiedza tajemna

organ sumoisty pod redakcją
Joanny Sabiło i Andrzeja Wesołowskiego

wiedza tajemna